Rok I. Marzec 1929. Nr. 3.

LEGJON

CZASOPISMO ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POLSKICH W KRAKOWIE



WODZOWI NARODU, KOCHANEMU KOMENDANTOWI,
PIERWSZEMU MARSZAŁKOWI POLSKI

JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU

TEN NUMER Z OKAZJI IMIENIN, W DNIU 19 MARCA 1929 R.,
JAKO WYRAZ HOŁDU I GŁĘBOKIEJ CZCI – POŚWIĘCA
„LEGJON".

MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI NIECH ŻYJE!

Polska — zginąć już nie może!

Do dawnej pieśni nowe słowa...

Polska — zginąć już nie może,
Żyje — wolna! cała!
Hymn nad hymny mknie w przestworze:
Polska — zmartwychwstała!

Co nam obca przemoc wzięła
Mocą to wzięliśmy...
Polska szabla przez wiek cięła...
Więc — nie zginęliśmy.

Gdy na świecie wróg się wadził,
W krwawej zawierusze —
O ojczyźnie Polak radził:
Budzić, począł dusze — — —

Wstał Piłsudski; gdzieś w Krakowie,
Wojsko polskie — tworzył:
Europa mu odpowie: — —
Hej! ten naród ożył...

Dość Mu było Polski cierpień —
W łunach: Rok czternasty...
W cud uwierzył, w szósty sierpień,
Począł tępić... chwasty...

Przeszedł kordon od Krakowa,
Wszedł aż do Warszawy,
Wróg się zwolna cofa, chowa
I grzmi hejnał krwawy.

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze
Dla ojczyzny ratowania
Wrócił się przez morze...

Tak Piłsudski po cierpieniu
Swojem i — narodu
W jego cudnem zespoleniu
Zórz doczekał wschodu...

Niemiec, Moskal nie przybędzie
Nad Wisłę, nad Wartę.
Już Polakiem — każdy będzie
Umieć trzymać — wartę...

Polska — zginąć już nie może,
Żyje — Zjednoczona!
Hymn nad hymny — mknie w przestworze:
Niewola — skończona!

Z wiarą w przyszłość — iść nam trzeba
Dokąd Wisła płynie,
Ducha mamy, — i dość chleba,
Polska już nie zginie!...

Powie ojciec do swej Basi
Dzisiaj już szczęśliwy:
Są gotowi zawsze nasi...
Bronić polskiej niwy...

W. K. 14. I. 1929.

J. Piłsudski jako pisarz.

Niema dzisiaj wielkich ludzi, którzyby gardzili sztuką pisania, bo miano wielkości w pewnej mierze przez nią się tworzy i gruntuje. Twórczość literacka nie jest w obecnej chwili wyłącznie jakiemś zajęciem kontemplacyjnem, ale bywa także środkiem do zdobywania dusz. Przez reklamę literacką wielkość genjuszu przenika w życie duchowe społeczeństwa i zespala się z niem w harmonijną całość. Społeczeństwa czekają wieki na zjawienie się wielkiego człowieka, a gdy on przyjdzie, to nie są zdolne go uznać od pierwszego razu i starają się go plugawić w imię swojej przeciętności. Stąd bierze początek walka przeciętności z wielkością. Kiedy w walce tej dojdzie do harmonji genjuszu z otoczeniem, którego on jest syntezą, wtedy społeczność wstępuje w epokę klasyczną i w okres świadomego tworzenia. Po przelicytowaniu swych sił i po zdaniu sobie sprawy z możliwości ich zastosowania, Polska Odrodzona staje dzisiaj wobec powyższego zagadnienia. U szczytu tej Polski stoi posągowa postać Piłsudskiego — stoi jak sfinks, a nie jest lubiany w pewnych sferach tylko dlatego, że nie chce rozwiązywać naiwnych zagadek, stawianych mu przez panów tak z prawej, jak i z lewej strony. Jego wielkość napełnia trwogą tak tradycyjnych jak i nowożytnych anarchistów.

Działalność pisarska Piłsudskiego jest dopełnieniem jego genjalnych czynów państwotwórczych i jest w pewnej mierze piękną politurą jego genjuszu. Jest ona bezpretensjonalna i zawsze uwarunkowana jakąś wyższą koniecznością. Piłsudski nie pisze poto, ażeby zostać pisarzem, lecz macha piórem dla osiągnięcia pewnego celu, który stoi na drodze jego epokowych poczynań. Posiadając wrodzone zdolności poetyckie, jako wielbiciel Słowackiego próbował w młodości pisać wierszem, lecz o zawodzie artystycznym nie myślał chyba nigdy. Mógł zostać wielkim pisarzem, bo



Po walkach I. Brygady pod Kostiuchnówką.
Komendant na czele kolumny w czasie przemarszu przez Czeremoszno w lipcu 1916 r.

Fot. ob. Kamer-Wojtyga.

natura wyposażyła Go w duże poczucie piękna i nastroiła Jego duszę na nutę liryzmu filozoficznego. Zdolność obrazowania stylem bujnym i oryginalnym jest także dodatnim rysem Jego talentu pisarskiego. Życie jednak poniosło Go ponad kontemplację artystyczną i uczyniło zeń człowieka czynu, który siłą swej woli, opanował rozjuszone zapędy dzikich żywiołów, wypadłych na świat z chlewa niewoli z kwikiem i rykiem, i stworzył dla Polski odrodzonej nowe formy życia.

Piłsudski-twórca, to ostatni wielki polski romantyk!

Piłsudski, to romantyk, bo dusza Jego wchłonęła wszystkie pierwiastki twórcze tkwiące w poezji wieszczów i stała się syntezą wszystkich polskich cierpień z okresu niewoli. Charakter Piłsudskiego - romantyka, ujawnia się przedewszystkiem w stosunku do otaczającego świata. Piłsudski - bohater zaczyna działać pod wpływem niezgody z otoczeniem. Wysuwa się na czoło swego społeczeństwa. Wzrokiem sięga daleko i widzi to, co inni zobaczą znacznie później. Wzbija się jak orzeł w przestworza ku zgorszeniu roztropnych kaczorów i kaczek, wiosłujących po kałuży, dziś w tę, a jutro w tamtą stronę.

Piłsudski - twórca walczy przez całe życie z otoczeniem obcem i własnem. Przystąpiwszy do wydawania Robotnika, rzuca hasło walki z najeźdźcą i z próżniaczem moskalifilstwem polskiego społeczeństwa. W roku 1905 potyka się z Moskalami i z polskim obozem ugodowym. Jako twórca Legjonów walczy z Moskalami, Austrjakami i Prusakami z jednej strony, a z tysiącem klik polskich z drugiej strony. W Polsce odrodzonej stosunek Płisudskiego do otoczenia nie uległ zmianie. Walka trwa do dnia dzisiejszego, a przez nią tworzy się nowa treść życia państwowego. Przez swój stosunek do społeczeństwa polskiego, Piłsudski zasługuje na miano Wielkiego Romantyka. Rzeczowe znów ustosunkowanie się narodu do Jego poczynań może zgotować Polsce równowagę, cechującą epoki klasyczne.

W twórczości literackiej Piłsudskiego niema nic pustego. Jest ona związana całkowicie z jego działalnością konspiratora, organizatora, wodza, polityka i męża stanu. Przystąpiwszy do organizacji Strzelca, stwarza polską doktrynę wojenną. Podobnie jak marszałek Foch, opiera jej istotę na sile niematerjalnej, na tem, co się nazywa „morale" wojska. „Podstawą wojska jest żołnierz. System pruski stworzył kastę oficerską, oddzieloną murem chińskim od społeczeństwa, a przepaścią od żołnierza". — „Najistotniejszą

częścią „moralności" wojska jest namiętne dążenie do zwycięstwa, do zgniecenia i ostatecznego pokonania nieprzyjaciela". W ten sposób w okresie przedwojennym Piłsudski stwarza doktrynę, a z tej narodzi się w czasie wojny „morale" żołnierza legjonowego, którego wartości moralne dadzą się porównać jedynie z zaletami francuskiego „poilu". W czasie wojny stwierdza, że konszachty N. K. N-u z c. k. Komendą naruszały podstawy, na których On budował „morale" żołnierza, bo żołnierz musi być przedewszystkiem obywatelem, bo „wojsko winno mieć dumę i ambicję". Tu znów powstaje konflikt między doktryną Piłsudskiego a oficerami z armij zaborczych, szukającymi posad w wojsku polskiem. W okresie, kiedy o wojsku polskiem nikt z Polaków nie potrafił myśleć konkretnie, Piłsudski budował także podstawy wiedzy wojskowej. W szeregu rozpraw, artykułów i odczytów omawiał szczegółowo najnowsze wydarzenia z zakresu strategji w ramach historji wojen. Zajmował się geografją wojenną Polski i możliwościami rewolucji w zaborze rosyjskim. Wyruszając z Oleandrów na czele pierwszej kadrówki, Piłsudski był wszechstronnie przygotowany do roli wodza i miał już swój sztab, operujący wspólnemi kategorjami myśli.

„Moje pierwsze boje" są arcydziełem polskiej literatury wojennej. Jest w tem dziele wyznanie osobiste twórcy, który intuicyjnie opanowywuje mit tworzenia. Książka stawia nam przed oczy bogactwo duszy i wielkość myśli autora, a walory emocjonalne czynią zeń dzieło o dużej wartości estetycznej. Przez stopniowanie nastrojów i przez charakterystykę postaci może być ona uznana za jedną z najpiękniejszych powieści polskich. Na tle tej książki Piłsudski ukazuje się nam jako prawdziwy artysta, który zdobywszy świadomość tworzenia, staje wobec rzeczywistości z pewną nonszalancją. Częste remiscencje historyczne świadczą, że Komendant, czuje się spadkobiercą Naczelnika Kościuszki i wodzów powstania styczniowego. Badając na froncie teren według mapy, pisze: — „Trafiłem na zabawny odcinek. Opowiadano mi, że w Winiarach był Kościuszko i że lubił tam siedzieć, oglądając widok przeciwnego brzegu Wisły. Jest jakoby we dworze w Czarkowej altana z kamiennym stołem, przechowywanym jako pamiątka po Naczelniku, który tam także bawił i przy stole siadywał. Wydaje mi się to legendą... A jednak jest przyjemnie myśleć o tem, że gdy zagrzmią tu strzeleckie strzały, Kościuszko-Naczelnik patrzy na nas z najwyższego punktu z Winiar". Operując na terenach, po których przesuwały się niegdyś oddziały powstańcze Langiewicza, nawiązuje często do wypadków 1863 roku. O odwrocie z pod Kielc pisze — „Powtórzyć chciałem w lepszy sposób niefortunny kontredans Langiewicza koło Nidy, zakończony upadkiem jego operetkowej dyktatury". W czasie odwrotu na zachód w 1914 roku takie myśli rodzą się w jego głowie: — „Mogła mi próba zawiązku wojska polskiego nie udać się, mogłem się mylić w rachubach, lecz nie mogłem zdobyć się na jakieś udawanie Józefa Poniatowskiego i tonąć w jakiejś Elsterze..." Wtedy pod wpływem legendy tatrzańskiej zwraca się myślą ku Podhalu: — „Górale pewno pomogą... Gdy już hekatomba ma być złożona to będzie ona przynajmniej tam w górach bardziej historyczną, bo samodzielną, ba, będzie bardziej sceniczną". Skala uczuciowa ma szerokie i prawdziwie humanitarne rozpięcie. Nie może się nacieszyć z patrjotyzmu ludu podhalańskiego, dziękuje serdecznie góralce za gościnność, oficera rosyjskiego, wziętego do niewoli w cywilnem ubraniu jako szpiega, rozkazuje umundurować przed wysłaniem na tyły, ażeby nie został powieszony, śmierć podkomendnych wywiera na Nim głębokie wrażenie. Miłość do żołnierza ujawnia się na każdym kroku. Stanąwszy na pagórku, Komendant obserwuje maszerującą kolumnę: — „Mój ty Boże! żal mi było patrzeć! Z przechodzącej kolumny raz wraz usuwał się do rowu przydrożnego żołnierz i padał bezsilnie na trawę. Na ten ostatni pagórek nie starczyło mu już sił".

„Rok 1920" jest dziełem pomnikowem w historji wojen Polski Odrodzonej. „Rok 1863" jest apologją rządu narodowego. W książce tej myśl Piłsudskiego unosi się lotem ptaka nad morzem wypadków, łowi istotne fakty, kreśli objawy energji narodowej, zbija fałszywą legendę o zgodzie wszechpolskiej, wskazuje na brak wielkich ludzi i na przeciętność wypadków. Wreszcie udowadnia ogromny wpływ tradycji powstańczej na następne pokolenie. W „Spomnieniu o G. Narutowiczu" kreśli obraz kryształowej duszy żmudzkiego obywatela, który wychowany poza krajem, nie zna jego upodlenia i wierzy w jego ideały. Oto z jakim liryzmem opisuje młodość Narutowicza: —„Gdzieś, w dworze żmudzkim, panowała popowstaniowa żałoba; cichą skargę matki zamiast wesołej piosenki miałeś nad kołyską, gdy ojciec chmurny trwożliwie nadsłuchiwał dźwięku dzwonka w oddali, zwiastującego przybycie jakiejś władzy zaborczej. A potem ciche, rzewne, lecz uporczywe nauki rodziców — żyj, cierp, kochaj i pracuj". Wybrany na Prezydenta, G. Narutowicz odzywą się do Komendanta w takich słowach: — „Ma pan rację — mówił mi — to nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tymi, kto karki im deptał i bił po pysku". — „I niech pan wierzy, niech pan wierzy, to być nie może, by ludzie byli tacy podli. Przecież jest niemożliwe, by bezinteresownej i wydatnej pracy ludzkiej nie szanowano".

Odtąd w pismach i mowach Marszałka Piłsudskiego uwydatniają się dwa kierunki myśli: pierwszy afirmuje pracę twórczą; drugi neguje ostro podłość i demagogję. Jako wielki pedagog i wychowawca narodu działa z taktem i umiarem. Najpierw ostrzega, dopiero, gdy ostrzeżenie nie pomoga, wtedy przemawia tak, ażeby i głusi Go zrozumieli. Mówi prawdę, której spaczona niewolą umysłowość polska nie może znieść. Odkrywa zgniliznę i podłość, w której chowają się nasze oryginały narodowe. Mówi dosadnie i nazywa rzeczy po imieniu. Styl Jego przeraża faryzeuszów, którzy rozdzierając szaty, deklamują z patosem naiwnego dziewczęcia — co na to powie... Europa... — Niby co tu ma Europa do gadania!

Piłsudski jest pisarzem oryginalnym, ponieważ

rzeczy nowe przedstawia stylem swoistym i świeżym. Umie pisać z humorem i stwarzać sytuacje komiczne, zna tajemnicę budzenia nastrojów, bywa satyrykiem i do każdego zjawiska odnosi się krytycznie. Styl Piłsudskiego ma specjalną rytmikę, opartą na ruchu progresywnym. Wrażenia wzrokowe są naogół w harmonji z wrażeniami słuchowemi. Zabarwienie emocjonalne nie wypływa z nagromadzonego tworzyna językowego, ale z powolnej fluktuacji myśli, która ujawnia się przy bardzo umiarkowanem użyciu wyrazów. Z tej przyczyny myśl często nie może się pomieścić w zdaniu i zda się, wystawać ponad jego poziom. Przeważa w stylu Piłsudskiego rytm miarowy, który czasami przyjmuje postać jakiegoś swoistego metrum. Zdarza się często udana metafora, pełne plastyki porównanie i giętka inwersja. Zwolennik kultury francuskiej, Komendant lubuje się w używaniu powiedzeń francuskich: Le vin est tiré il faut le boire — Tu l'as voulu, George Dandin — le rire soulage i t. d. Bardzo znamienną cechą stylu Piłsudskiego jest jeszcze personifikacja. Do zwierząt i do przedmiotów martwych, Komendant lubi przemawiać z jakimś Daudet'owskim humorem jak do ludzi. O Wiśle, Dunajcu i Nidzie pisze jakby o istotach żyjących: — „A ta głupia Nida! Powiadają, że Żeromski ją właśnie nazwał „wierną rzeką". Płynie leniwie, jak w puchach, w błocie i wierna jest. Komu? Chyba tym błotom!" Na innem miejscu przemawia do kasztanki: — „Głupia, w twoich Czaplach nie byłaś, ale zato jesteś w Krakowie, rozumiesz? w kochanym, cudnym, polskim Krakowie, gdzie żołnierz polski z honorem umrzeć może, rozumiesz? ty czapelska istoto! Na tobie, na tobie wjadę, głuptasku, do Wilna"!

Twórczość literacka Piłsudskiego jest bardzo ważnym dokumentem dla poznania ducha Polski Odrodzonej. Jest podstawą, na której przyszłe pokolenia budować będą system filozofji polityczno-społecznej. Z tej przyczyny w historji literatury polskiej przypadnie Komendantowi piękna karta. Obowiązkiem Związku Legjonistów jest przystąpić jak najprędzej do pełnego wydania wszystkich pism Piłsudskiego, a w ten sposób stworzy się fundament pod budowę gmachu kultury legjonowej.

Stanisław Łukasik.

Piłsudski.

Franek wybiegł z pociągu, zarzucił płaszcz szary
na ramiona i mundur wygładził na sobie —
wszedł ciężko do bufetu, swe niedźwiedzie bary
kołysząc nieporadnie w takt na strony obie.

Na długich rapciach włóczył ułańską szablicę,
ostrogami podzwaniał rozmaszyście, srodze:
każdy ktokolwiek spojrzał w jego mroczne lice
umykał, jeśli stanął mu przypadkiem w drodze.

Na front jedzie, więc pije — pije na otuchę...
Wszystko mu jedno.. czapkę zasunął wtył głowy...
Przechylił jeden kielich: siarczystą siwuchę
wysączył do dna — kazał znów kieliszek nowy...

Wypił, lecz w butnej głowy mocnem przechyleniu
zobaczył wprost na ścianie portret Naczelnika:
czoło, jakoby w chmury gradowej zacieniu
i wzrok, co pierś piorunem do serca przenika.

Franek czoło osępił: patrzyli na siebie,
jak dwie moce — patrzyli oczyma mrocznemi:
Wódz, co się w chmurach orłem na skrzydłach kolebie
może na zatracenie gdzieś w świata pustyni...

Wezwał mnie On od roli, od dzieci, od żony —
i on chłop polski, twardo stojący na ziemi.
Zawezwał On na boje, na śmierć milijony...
ale On Wódz... Naczelnik — ponoć wie co czyni...

* * *

I widział Go raz drugi.. Gwiazdy migotały:
rozgwieździło się niebo nad pobojowiskiem...
Franek ranny śmiertelnie leżał we krwi cały
na jakiemś traw zawiędłych podesłaniu śliskiem.

A śmierć chodziła polem, chytra ladacznica,
otulając swe gnaty wstrętnym łachem burym —
szczerzyła do każdego swe potworne lica,
trącając konających żerdzistym kosturem.

I wtedy Franek widział twarz Wodza raz drugi...
W jakiejś wielkiej zadumie, w osępieniu srogiem
szedł, by duch jasny w świetle księżycowej smugi
cichy, jakby rachunek zdający przed Bogiem...

I te oczy podobne piorunowym zgrzytom
roztopiły się w cichym, łagodnym lazurze —
patrzyły hen w bezmiary ku dalekim świtom
w pustkę za bojowiskiem, poprzez dwie łzy duże...

Łzy, których nigdy, nigdy nie widzieli ludzie,
bo Jemu łez nie wolno uronić z pod powiek!
Iść Mu znaczone było w męczeństwie i trudzie
i zamilczeć o sercu, jak kamienny człowiek...

Franek, co go Wódz wezwał w boje na zatratę,
widział te łzy, łzy-gwiazdy, w nieb drżące pustyni...
i wargi jego skrzepłe, już wpół lodowate
szeptały: On nasz Ojciec, ponoć wie, co czyni...

Józef Aleksander Gałuszka.

Kierunek rozwoju Konstytucji.

I.

Dopóty nie napiszemy poprawnej, a przedewszystkiem szczerej Konstytucji, dopóki nie poweźmiemy decyzji, czy pojęcie narodu uważamy za identyczne z państwem, czy nie. Dotychczasowa Konstytucja zostawia nas w niepewności. Z jednej strony mówi, że władza należy do narodu (a więc jednego, t. j. do narodu polskiego), z drugiej zaś strony dowiadujemy się z niej, że w Polsce istnieją inne także narody i że mają takie i takie prawne stanowisko.

Rozróżnienie pojęć narodu i państwa miało zasadnicze dla naszej ideologji znaczenie w czasie niewoli. Pytanie więc, które wypada obecnie rozstrzygnąć, opiewa: czy mamy trwać, po odzyskaniu niepodległości, przy tem rozróżnieniu, czy też mamy rozwinąć, przekształcić, zmienić pojęcie narodu, a w razie twierdzącym, jak go zmienić?

Nie podejmuję się odpowiedzi na to pytanie. Chcę tylko zwrócić uwagę na zasadniczy punkt. Nie można oddzielić narodu od kultury, to znaczy naród nie może się składać z grup o różnych kulturach. Gdybyśmy więc chcieli, aby z Konstytucji zniknęły przepisy o mniejszościach narodowych, jako o osobnych narodach, to stać by się to mogło tylko wówczas, gdyby te mniejszości narodowe przeniknięte zostały polską kulturą. Aby zrozumieć, o co tu idzie, należy 1-o porozumieć się, czem jest kultura, a 2-o zgodzić się na pogląd, że prawo jest jednym z wyrazów kultury.

Z takiego pojmowania wynikają daleko idące konsekwencje dla naszej polityki, konsekwencje, które się odbiją właśnie w Konstytucji, jeżeli bowiem polityka nasza ma polegać na naszej ekspansji na Wschód, to odniesie ona wtedy tylko sukces, jeżeli nasza kultura będzie tak wysoką, że wywierać będzie wpływ przyciągający.

Kto uzna, że w powyższych twierdzeniach jest jądro prawdy, ten też potrafi ocenić, jak dokładnie należy odczyścić naszą Konstytucję z frazesów, ktore przyjmujemy z pokolenia na pokolenie, nie poddając ich krytyce, jakiej wymagają zmienione stosunki.

II.

Ktoś zwalczał projekt wzmocnienia władzy Głowy Państwa, twierdząc, że absolutyzm Głowy Państwa wiedzie z konieczności do absolutyzmu biurokracji. Oświadczał się wskutek tego za demokracją parlamentarną, zapomniał jednak dodać, że ta demokracja wiedzie — znowu z konieczności — do takich objawów, któreśmy nazwali sejmowładztwem. Gdzie się więc znajduje zbawcza idea?

Znajdziemy ją w takim ustroju, który z jednej strony normuje jak najtroskliwiej kontrolę nad rządem, z drugiej zaś strony społeczeństwu da samorząd w tem znaczeniu, że w ręce związków samorządowych złoży pewne agendy administracji publicznej, ale wykonywanie tych agend podda znowu jak najtroskliwiej obmyślanej kontroli. Nie waham się przeto powiedzieć, że punktem centralnym Konstyutucji, która nie chce popaść w jeden lub drugi ekstrem jednakowo szkodliwy, jest problem kontroli.

Do kontroli powołanym jest parlament, ale skutecznie może ją wykonywać tylko w ograniczonym zakresie. Dlatego stworzoną być musi względnie rozbudowaną inna jeszcze instytucja kontrolująca. Jest nią sądownictwo administracyjne, oparte na elemencie



Prezes N. K. N-u Dr. Leopold Władysław Jaworski.
Prof. Uniw. Jagiell.

urzędniczym i obywatelskim i uposażone w niezawisłość. Kto z tego punktu widzenia patrzeć będzie na sądownictwo administracyjne, ten z pewnością odkryje, że jest ono syntezą wyżej określonych biegunów: biurokracji i samorządu, silnej władzy i wolności, tendencji do stabilizacji i potrzeby ciągłych zmian wskutek ciągle zmieniającego się życia. Należy tylko znowu zerwać z pewnemi szablonami, które urosły niemal do znaczenia dogmatów i budować śmiało nowe rzeczy. Wydaje mi się, że to, co nazywamy samorządem terytorjalnym, powinno zostać w charakterze opinjodawczym i postulatowym, ale samorząd w znaczeniu wykonywania pewnych ustawą oznaczonych agend administracji publicznej należy nadać związkom zawodowym, które należy odpowiednio rozbudować. Wydaje mi się, że sądownictwo administracyjne po-

wołanem być winno do kontroli całej działalności administracyjnej, a nie tylko jej legalności. Wydaje mi się wreszcie, że kontrola wtedy tylko będzie realną, jeżeli sądownictwo administracyjne będzie rozbudowane w trzy instancje.

III.

Oto główne kierunki, w których rozwijać się powinna mojem zdaniem Konstytucja. Mówię: rozwijać się. Rozumiem bowiem, że stać się to może tylko stopniowo, ale te stopnie powinny być określone z jednego punktu widzenia, powinny mieć jedną perspektywę. O tej perspektywie dyskusję uważam za najważniejszą. Bez zgodzenia się na wyżej określone dwie kwestje, nie wyobrażam sobie, aby rewizja Konstytucji była owocną. Kwestjami temi są: 1) Jaką politykę mamy stosować w sprawie t. zw. mniejszości narodowych i 2) jak rozdzielić administrację publiczną między rząd i społeczeństwo, a wykonywanie jej bez względu na to, kto ją wykonuje, poddać najintenzywniejszej kontroli. Kwestja druga obejmuje dwie inne: a) czy wprowadzić samorząd zawodowy i b) jak rozbudować sądownictwo administracyjne?

Władysław Leopold Jaworski.

Puszcza.

W wołyńskiej puszczy spadły liście,
Przez bagna nikt nie przejdzie tu.
Tęsknota z drzew otrząsa kiście,
Tęsknota sypie puchy dżdżu,
Wiatr w gęstwach śpi, a cisza głucha...
Padają gęste mgły jak łzy,
Padają ciężko mgły na ducha —
Tęsknota włóczy się po puszczy.

A pułki idą w lasów cieniu
Przez ognie, śniegi, bitwy, błota
W tętencie pieśni lub w milczeniu,
A z nimi idzie śmierć, tęsknota.

W strzeleckiej duszy rwą płomienie.
Dla twardych dni przez serca biel
Nie trzeba chwał! Cóż zapomnienie?
My mamy moc, bo mamy cel.
A który z śmiercią ślub ma brać
Pod namiotami nagich drzew,
To puszcza będzie liście gnać,
Odwieczny senny wiodąc śpiew
O kroplach rosy w ranek złoty
Wpleciony w szary płaszcz tęsknoty.

Po puszczy włóczy się tęsknota
I na rozstajach czeka dróg.
Z Nadzieją iść w Wolności wrota
Śladem żołnierskich mocnych nóg.

Wołyń czerwiec 1916. *Kazimierz Dzieliński.*

Literatura wojenna w Italji.

„Chcąc mówić o literaturze, zrodzonej z ostatniej wojny doszlibyśmy do konkluzji negatywnej; wojna nie miała, ani mieć nie może prawdziwej, własnej literatury". Tak, lat temu dziesięć, pisał A. Tosti w „Conferenze e prolusioni". Czas przyznał słowom Tostiego słuszność.

Gdy wybuchła wojna, wiele się mówiło i pisało o możliwych wpływach wojny światowej na sztukę i literaturę. Problem ten zaprzątnął głowy historyków, krytyków, filozofów i literatów (sławne referendum perjodyka francuskiego „Le Correspondant"). Przewidywano odrodzenie i transformację form artystycznych i literackich, przepowiadano nawrót do ducha i form klasycznych, czy mistycznych, koniec retoryki, puryfikację życia i obyczajów, a literatura pierwszaby o tej przemianie świadczyła. Krytycy włoscy Borgese i Lopez nie wierzyli w te „nowinki", a najbystrzejszy z krytyków, nieżyjący już, Renato Serra twierdził, że „nadaremnie oczekuje się od wojny odrodzenia czy przemiany literatury, jak marną jest również nadzieja, by literaci powrócili z wojny inni, ulepszeni i uszlachetnieni. Literatura się nie zmienia. Nastąpi pewna pauza, pewna przerwa, ale literatura tam się zatrzyma, gdzie doprowadził ją wysiłek ostatnich pokoleń. A ci, którzy przeżyją ten kataklizm — tam właśnie będą musieli zacząć, tam podjąć przerwaną nić ciągłości"

Nie bardzo się Serra pomylił. Ani powrót do klasycyzmu nie nastąpił, ani do mistycyzmu, ani renowacja życia umysłowego. Czy aby jest prawdziwą smutna synteza Prezzoliniego, że „literatura włoska wojenna i powojenna podwoiła wprawdzie produkcję, ale pod względem wartości spadła, nie zmieniając zasadniczo swego oblicza".

Literatura, mająca jakieś cechy sztuki, pozostała podczas wojny i potem impresjonistyczna i fragmentaryczna, jak przed nią, a t. zw. literatura mieszczańska, w pogoni za użyciem powojennem, pozwala sobie na większe, czy mniejsze dekolty, krocząc wiernie za moralnością czy niemoralnością naszych czasów.

Więc nie w wojnie, ale w tem, co dziś się dzieje w Italji, tkwi raczej ziarno odrodzenia życia włoskiego. Już bowiem zaczyna się zaznaczać wysiłek stworzenia czegoś nowego w sztuce i literaturze, jak zresztą we wszystkich dziedzinach życia umysłowego Italji.

* * *

Arcydzieła włoska literatura wojenna więc nie wydała. Nie wolno jednak twierdzić, by to, co wydała, nie było przepojone prawdą, pasją i poezją, choć najwięksi zawiedli. D'Annunzio wiele pisał podczas wojny i o niej; nie stworzył żadnego jednak dzieła, któreby się stało granitowym pomnikiem owych tytanicznych zmagań, dla przyszłych pokoleń. Zasługi D'Annunzia leżą w innej dziedzinie, jeśli chodzi o działalność jego podczas wojny.

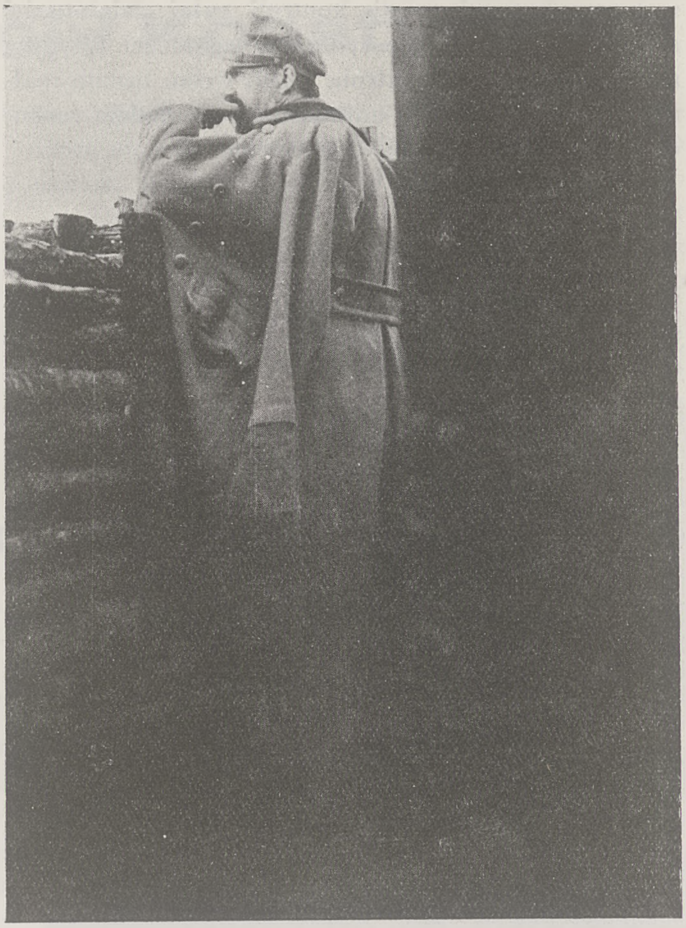
A poetae minores? „*Altare*" Benelliego, „*Italiche*" Pastonchi'a, *Poezje* Bertacchi'a i Ady Negri nie wybijają się ponad przeciętność. Szukają inspiracji w wojnie Moretti, Martini, Zucca, Cucchetti Alvaro, d'Alba, Ungaretti Moscardelli i Locchi. Poemat tego ostatniego „Sagra di Santa Gorizia" tak bardzo rozpowszechniony we Włoszech i czytany w szkołach, nie jest wprawdzie bardzo wybitnem dziełem, ale miało ono znaczenie historyczne, dzięki zawartym w niem walorom etycznym i wychowawczym i niemało się przyczyniło do dodania otuchy i wiary podczas wojny i po niej. „Gorycja może być dumna z posiadania takiego poety" powiada o Locchim D' Anunzio. O dwóch jeszcze poetach należy wspomnieć, podobnych do siebie, jeśli chodzi o ich twórczość, przepojoną duchem religijnym: Piera Jahiez i G. Borsi'ego.

Słabiej niż w poezji odbija się echo wojny w powieści, noweli i dramacie. Na pierwszem miejscu w dziedzinie sztuki narracyjnej stoi „*Verginità*" F. M. Martiniego. W dziele tem, może jak w żadnem innem, opisane są przeżycia człowieka, który cudem ocalał z piekła rowów strzeleckich i zyskał jakby nową dziewiczość po powrocie „na świat stworzony z ludzi i świata". Obok „Verginità" Martiniego stoi „*Uragano*" Gina Rocca i „*Vampete di guerra*" F. Comita. Daleko w tyle za nimi stoją znani z przed wojny pisarze. „*Madonna di Mama*" *i Romanzo della guerra*" A. Panziniego, „*La bandiera alla finestra*" *M. Moretti*'*ego*. „*Le transformazioni*" Pastonchi'a, „*La trincea*" Sapori'ego, „*Teo*" Nosari'a *i* „*Mors Tua*" Matyldy Serao potomnym prawdopodobnie za lekturę służyć nie będą. Pirandello, Deledda i Tozzi — stali zdala od wojny.

Od Pirandella można się było spodziewać jakiegoś dramatu, zaczerpniętego z wojny — niestety, największy z dramaturgów współczesnych milczy, jeśli chodzi o problem wojny. Wojną zajmuje się w jednoaktówce „*Sull'Isonzo*" G. Zucca. Sztuka ta zawdzięczała powodzenie z początkiem wojny — chwili, ale nie nowym wartościom. Chiarelli'ego „*Le lagrime e le stelle*" padła po krótkim żywocie, a „*Il sangue*" — dramat Civini'ego zapomniany jak „*Rocce ed i monumenti*" R. di San Secondo. Zbogacił się natomiast teatr djalektyczny, regjonalny, w dwa nieprzeciętne dramaty — „*Uocchie cunzacrati*" R. Bracca i „*Seuru*" N. Martoglia.

W literaturze impresji epizodycznej, t. j. w „korespondencjach" prym wiodą Bazzini, Fraccaroli, Civinini, M. Ojetti, M. Puccini i A. Baldini, którego korespondencje umieszczone w „Illustrazione Italiana", wydane zostały razem p. t. „*Nostro purgatorio*". Prezzolini uważa książkę tę za najpiękniejszą i najświeższą w współczesnej literaturze (Prezzolini, „*Tutta la guerra*").

Wrażenia swe wojenne opisuje Soffici w „*Kobilek*", Monelli w „*Scarpe al sole*" (3 wydania), Stanghellini w „*Introduzione ella vita mediocre*" Rossato w „*Elmo di Scipio*", Frescura w „*Dario di un imboscato*", Salsa w „*Trincee*", Mariani w „*Scotti la naja*" i „*Colloqui con la morte*", Mazzuccato w „*Iprodi Anselmi*". Zebrane w tych impresjach przeżycia, opowiedziane są z serdeczną prostotą, niepozbawioną szczerej poezji. Wszyscy, którzy przeszli wojnę w okopach odnajdą tu swe własne przeżycia i wspomnienia.



Komendant w okopach na Polskiej Górze.

Ze zbiorów Kamera-Wojtygi.

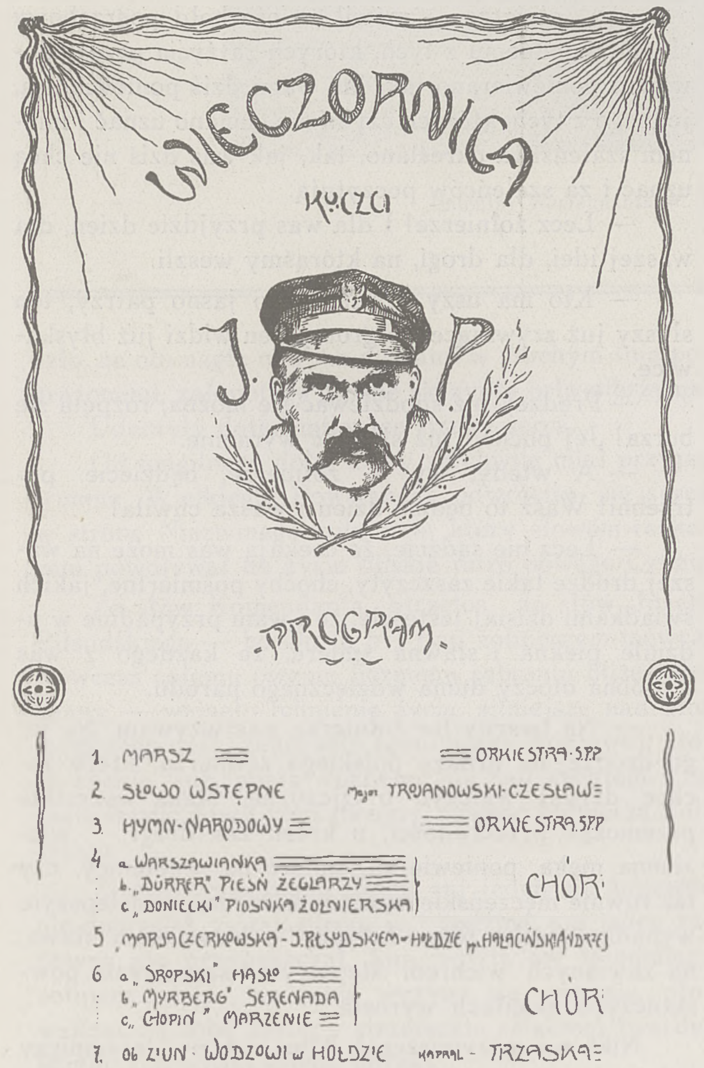
Blisko spokrewnionym działem jest pamiętnikarstwo. Ale by pamiętnik miał wartość wymaga się, by język wzniósł się ponad codzienną prozę i retorykę dziennikarską, lub też, by piszący był jakąś nieprzeciętną indywidualnością. Takich pamiętników jest ledwie kilka: Mussoliniego „*Diario di guerra*", Gasparottiego „*Rapsodie*", Mancresie'go „*Ricordi di guerra*" i Ojca Semerii (autora pracy o Quo Vadis Sienkiewicza) „*Memorie di guerra*" i „*Nuove memorie*", Slatapera „*Mio Carso*", Beccastrini'ego „*Ricordi*", Chianea „*Per le strade della patria*". Wiele z ogłoszonych, poza wyżej wymienionemi, nie ma żadnego znaczenia dla literatury, raczej dla historyka. I może to spowodowało rząd faszystowski do założenia muzeum w Medjolanie, które ma za zadanie zbieranie wszelkich pamiętników, zapisków i notatek wojennych uczestników. Możliwe, że i dla literatury też się coś wartościowego znajdzie. Wydawnictwo faszystowskie „*Il Littorio*" ogłasza teraz serję pamiętników wojennych p. t. „Commentari della guerra". Ma ich wyjść dwanaście. Zamknie cykl ten pamiętnik Mussoliniego „Domani". Te, które wyszły określiłbym pamiętnikami historyczno-lirycznemi.

Lirycznem nawskróś jest również krasomówstwo i z tego „rodzaju" literackiego może Italja być dumną i poszczy-

cić się bardzo wybitnymi przedstawicielami. Na czele kroczy świetlana postać, „il grande mutilato", Carlo Delcroix, wywierający tak podczas wojny, jak i dziś, silny wpływ na życie polityczne i literaturę swego narodu. Delcroix we wszystkich swych dziełach i mowach, w „*Sacrificio della parola*", „*Un nomo e un popolo*", „*Dialoghi con la folla*", „*Sette santi senza candele*", opiewał zmaganie się Italji i wskazywał jej drogę, którą winna kroczyć. On to przywrócił blask owemu liryzmowi oratorskiemu i krasomówstwu lirycznemu, które zawsze miało tak wybitnych mistrzów w Italji. Nie wolno zapominać, że krasomówstwo jest czemś istotnem w życiu Italji, czemś co wywiera duży wpływ, może jak w żadnym innym narodzie. „Il bel parlare", sztuka pięknego mówienia, tylko w Italji bujnie kwitnie. A mistrzostwa tego odmówić nie można też D'Annunziowi, Paolucci'emu de' Calboli i dwom znanym kaznodziejom Ojcu Gemelli'emu i Semeri'i.

Wojciech Meisels.

W dniu Imienin Komendanta.



Program Imienin Komendanta w 1917 r.

Komendancie! Wodzu Ukochany!
Legjony Twoje stają znów w szeregi. —
Jako zbóż onych pozłociste łany,
Jako mórz fale, bijące o brzegi
Szumią ich piersi uczuciem wezbrane
W dniu Twych Imienin, w dniu wielkiego święta.
Na wszystkich ustach Imię uwielbiane,
We wszystkich sercach miłość niepojęta,
Która się rodzi jeno w ciężkim znoju
Walk tytanicznych o szczyt ideału,
Co duszę ludzką unosi wśród boju
Do niebosiężnych wyżyn i zapału...
Nad nami sztandar wolności rozpięty
Twej pracy wielkiej i poświęceń znamię,
Sztandar Legjonów jak relikwje święty,
Który wzwyż wzniosło wielkie Twoje ramię.
W głębi szeregów drży napięta nuta,
Nad którą żadna już siła nie włada,
Pieśń na motywach wspólnych walk osnuta,
Pieśń Legjonowa „My pierwsza Brygada"!
Popłynie ona za chwilę w niebiosa
Huraganową siłą gromów burzy,
A potem opadnie, jak ta srebrna rosa
I serce czarem wspomnienia odurzy,
Później, połączy się z głosami kraju
I całą Polskę swym tonem okryje,
Aby popłynąć, jak ptak na wyraju
Ku piersi Twojej i huczeć: Niech żyje!
Niech żyje polski Wódz i Odkupiciel
Piłsudski Józef Ojczyzny Wskrzesiciel.

Wiesław Czarnowski.

W pochodzie do Zwycięstwa.

Trzy chwile z życia Józefa Piłsudskiego.

(Wspomnienie).

Było to w roku, który niebawem miał się krwawemi zgłoskami zapisać w pamięci świata całego — w roku 1914.

W pogodny dzień majowy ludność miasta Lwowa licznie się zebrała na cmentarzu u stóp wzgórza Pohulanki, by na wieczny odpoczynek odprowadzić jednego z dzielnych i wiernych synów Ojczyzny, co przed kilkudziesięciu laty ostatni ważyli się podnieść zbrojne powstanie.

Uroczystą zaś była manifestacja pogrzebowa, bo grzebano zwłoki nie zwyczajnego żołnierza powstańczych szeregów.

W ciemny grób wstępował jeden z ostatnich przedstawicieli styczniowego rządu polskiego, niestrudzony, przez całe powstanie pracujący nieprzerwanie, sekretarz rewolucyjnej władzy, Józef Kajetan Janowski.

Ostatni reprezentant własnej władzy walczącego o wolność narodu!

To słowo „ostatni" smutnem echem rozbrzmiewało w sercach wielotysiącznego tłumu, rozumiejącego, że oto wraz z ostatnim członkiem Rządu narodowego może zstępuje do grobu na zawsze duch Niepodległej...

Tuż przy trumnie kołem stanęły oficjalne reprezentacje. Stamtąd też poszły zwyczajne w takich razach, uroczyste, na górny ton nastrojone mowy żałobne.

W oddaleniu pewnem od trumny stanęły dwie grupy, swym ordynkiem i strojem dziwnie odbijające od pogrzebowego tłumu.

Były to wyraźne wojskowe oddziały, zwartym szykiem, postawą i mundurem wyodrębniające się silnie z tej luźnej, niesprzężonej rzeszy cywilnych żałobników.

Bliżej stała drużyna polowa „Sokoła".

Pierwsza po oficjalnych mówcach hołd złożyła Wielkiemu Duchowi Powstania. W słowach przedstawiciela sokolej drużyny był już piękny pęd rycerski, był już pewien nieznany tak długo poryw romantyczny, przypomniany na nowo lot uniesienia...

Nie było jeszcze „zatargania do trzew", nie było jeszcze słowa nowych czasów!

Aż nagle wpadło w tłum pogrzebowy słowo — twarde i ostre... Aż nagle wśród patetycznie uniesionych serc rozbrzmiało „zgrzytem żelaza po szkle"...

Przed front stojącego w głębi oddziału, kompanji „Związku Strzeleckiego", wystąpił jakiś nieznany człowiek w szarym strzeleckim mundurze. Z twarzy okolonej czarną brodą, z jej rysów i błysków oczu, biła zimna, nieustępliwa zawziętość. Odwrócony od grupy dygnitarzy miejskich i oficjalnych przedstawicieli, w części zwrócony w stronę trumny, więcej zaś w stronę żołnierzy, przemówił.

Z miejsca pierwsze słowa przykuły słuchaczy. Były to bowiem słowa rozkazu wojskowego, nie dopuszczającego do żadnych wewnętrznych roztrząsań, nie znającego żadnych wątpliwości, a jedynie męskie: Tak być musi! Przeznaczone wyłącznie dla grupy młodych strzelców, były w tym tłumie czemś dziwnie obcem, czemś tak niespodzianem, a zarazem tak porywającem, że nie sposób było oprzeć się tajemnemu urokowi ich siły.

— „Żołnierze — mówił — oto hołd pogrzebowy składają jednemu z tych, których za życia prześladowano i poniewierano tak, jak wami dziś poniewierają, jednego z tych, których czynu nie chciano uznać i mianem szaleństwa określano, tak, jak was dziś nie chcą uznać i za szaleńców poczytują.

— Lecz żołnierze! I dla was przyjdzie dzień, dla waszej idei, dla drogi, na którąśmy weszli.

— Kto ma uszy otwarte, kto jasno patrzy, ten słyszy już zrywające się gromy, ten widzi już błyskawice.

— Prędzej, niż spodziewać się można, rozpęta się burza! Jej pochód już słychać wyraźnie.

— A wtedy, wy — żołnierze, będziecie potrzebni! Wasz to będzie dzień i wasza chwila!

— Lecz nie sądźcie, że czekają was może na waszej drodze takie zaszczyty, choćby pośmiertne, jakich świadkami dzisiaj jesteście, że i wam przypadnie w udziale piękna i sławna śmierć, że każdego z was z osobna otoczy duma wdzięcznego narodu.

— Na twardy los żołnierza was wzywam. Na jego drodze, na drodze polskiego żołnierza, który zechce dzisiaj walczyć o Ojczyznę, staną wszystkie przemożne przeciwności, u kresu zaś drogi — więzienna męka, poniewierka, śmierć na szubienicy, czy też równie męczeńskie samotne konanie, w najlepszym wypadku „cichy płacz kobiecy" i bezimienna sława, na zawianych wichrem stepowym, samotnych powstańczych mogiłach wyrosła..".

Nikt nie przypuszczał, kim jest ów tajemniczy żołnierz-mówca, na jakie wyżyny się wzniesie, prowadząc za sobą zastępy strzeleckie szlakiem twardej służby i krwawej ducha udręki.

On zaś nawoływał: — Musicie mieć duszę twardą i nieulękłą. Musicie mieć wolę nieugiętą, by w chwili stanowczej próby na sobie samym się oprzeć i z siebie samego siłę dobyć!

...Dawno — dawno zapomniane, nigdy — nigdy w obecnym pokoleniu niesłyszane słowa, jak cięcia szabli, jak karabinowe strzały, padały pomiędzy zdumionych słuchaczy. Nie zdawano sobie sprawy, czego właściwie chce ten żołnierz-mówca...

Lecz wielu — wielu, instyktownie czuło, że oto nagle coś nowego, coś wielkiego pomiędzy nich we-



Imieniny Komendanta w Grudzynach nad Nidą w 1915 r.

Ze zbiorów Kamera-Wojtygi.

szło, że oto nagle nad ich duszami w głuchym śnie pogrążonemi, załopotały groźne skrzydła orła-olbrzyma.

Uderzyły dotąd milczące struny serca...

Od mogilnego dołu, który za chwilę miał przyjąć trumnę Wielkiego Powstańca, odwróciły się serca w stronę Nieznanego żołnierza, który słowem-rozkazem powoływał do życia bliskie jutro nowego Czynu.

Ze słów Komendanta Strzelca, ze słów Józefa Piłsudskiego — bo On to był tym żołnierzem-mówcą, wówczas całemu owemu licznemu zebraniu bliżej nieznany — wionęło tchnienie życia, silniejsze nad głos mogilnego dołu, zahuczało tętno burzy dziejowej, która rychło już miała rozpętać się nad światem i na szalę rzucić nowy czyn zbrojny, nowego Żołnierza Polskiego.

Z wielotysięcznego tłumu ani jeden się zapewne nie domyślał, że tak bliską jest godzina, ani jeden zapewne nie przypuszczał, kim będzie ów tajemniczy żołnierz-mówca, na jakie wyżyny się wzniesie, prowadząc za sobą zastępy strzeleckie szlakiem twardej służby i krwawej ducha udręki.

II.

Było to w drugim dniu bitwy pod Jastkowem.

Przydzielony do 4 p. p. Legj. p. znalazłem się przy boku generała Roji, dowódcy „Czwartaków".

Już w południe, wysłany jako łącznik z komendy pułku, znajdującej się na wzgórzu przed linją rezerwy, przeszedłszy przez silnie ostrzeliwane mokradła i stok wzgórza, dotarłem do oddziału karabinów maszynowych por. Klisiewicza, zajmującego pozycję tuż za pierwszą linją bojową na wysokim szkarpie małej kotlinki, ukrytej w zagajniku brzozowym. Przez wylot w szkarpie widziało się, jak na dłoni, o trzysta kroków odległe pozycje nieprzyjaciół oraz ich ruchy wśród chat Jastkowa i zabudowań folwarku Józefów. Leciały ku nam nieustannie gwiżdżące kule karabinowe, pękały nad nami ekrazytowe pociski.

Jeden z żołnierzy, z łącznikowego oddziału I Brygady Józef Stachurski, trafiony nagle w czoło, usunął się martwy z wału. Za chwilę w zacisznej kotlince wśród brzóz płaczących wyrosła mogiła, samotna mogiła żołnierza polskiego, nieuczczona nawet modlitwą pogrzebu, jeno żalem towarzyszy broni pożegnana i trzaskiem karabinowej palby.

Gdy z meldunkiem od por. Klisiewicza, w rok później poległego pod Koszyszczami, wracałem do Komendy pułku, spotkałem już w drodze tuż na skraju brzozowego lasku pułk. Roję, w towarzystwie poety Władysława Orkana, pełniącego służbę legjonową w 4 pułku. Dowódca pułku szedł, jak dobry gospodarz, doglądnąć pracy swoich żniwiarzy. Przeszliśmy dalej razem ku pierwszej linji tam, gdzie stykały się ze sobą pozycje III i I baonu.

Pułkownik, zająwszy odpowiednie stanowisko, obserwował walkę. Nad nami w całej pełni grała piekielna muzyka boju, pełna gwizdu, trzasku i łomotu. Tuż obok nas pękały raz po raz ekrazytówki, któremi moskale ostrzeliwali nasze pozycje, tuż obok padł na ziemię ze strasznie zeszpeconą twarzą, ugodzony odłamkiem szrapnela młodziutki sanitarjusz, który przed chwilą koło nas przebiegł roześmiany i ochoczy.

Właśnie w czasie, gdy uniesienie bitewne doszło do najwyższego napięcia, na pochyłości pola, spadającej ku nam nad mokradłami, od strony szosy lubelskiej, wyłoniła się grupa trzech ludzi, idących zwolna ku naszym pozycjom. Na pierwszy rzut oka dojrzałem, że to idzie ku nam Wódz I Brygady, Komendant Józef Piłsudski, mając przy boku nieodstępnego

towarzysza swej pracy bojowej Szefa Sosnkowskiego i jeszcze kogoś z otoczenia.

Zameldowałem pułkownikowi, który w tej chwili w inną był zwrócony stronę.

Za kilka minut Komendant był przy nas i zaraz wraz z dowódcą pułku ruszył poprzez zagajnik brzozowy ku lewej flance trzeciego baonu, łączącego się z 1-szym pułkiem I Brygady.

Gdy tak szedł — jak się wyraził jeden ze świadków bitwy jastkowskiej — „wpisany w parabolę pocisków", polatujących tu i tam nad jego głową, pękających tuż przed nim i za nim, przypomniała mi się żywo tamta chwila na cmentarzu lwowskim.

Przypomniał mi się ów mały oddział strzelecki przy trumnie powstańczej, rzucony jako trapiący znak zapytania w ogłuchłe pustkowie ówczesnego życia polskiego...

Przypomniały mi się twarde, wyzywające słowa Komendanta, rzucone hardo w ogłuchłe serca polskie, słowa wyzywające na nową walkę z wrogiem Ojczyzny i z niemocą własnej duszy.

Od tamtej, cmentarnej jeszcze chwili ledwie rok przeminął — a dumne zaklęcia przemieniły się w porywającą rzeczywistość.

Mały oddział strzelecki, rozrośnięty w kilkutysięczny Legjon, szedł ziemie ojczyste wyzwalać z rąk wroga, jako pierwsza awangarda zbiorowego czynu i niepodległego ducha polskiego. Nieznany podówczas Szary Żołnierz, dziś już wsławiony chwałą licznych bojowisk, Wódz I Brygady, Józef Piłsudski, w glorję ognistych pocisków przybranych, szedł ku pozycjom swej braci strzeleckiej, jako dobry duch Polski walczącej, jak dobry zwiastun-posłaniec, niosący z sobą zakon Nowego Żywota Polskiego.

Przed nim zaś i za nim w ogniu śmiertelnych pocisków pełniło się twarde przeznaczenie srogiej służby żołnierskiej, ścieląc się do stóp duchowi Polski coraz to innem młodem ciałem, padającem na szaniec Wolności...

III.

Nareszcie pękły narzucone więzy!

Bolesne pęty obłudnego „sojuszu" z niemieckim i austrjackim okupantem Królestwa Polskiego, zerwał się nareszcie potężny podmuch „Wiosny ludów", idący po świecie. Jeszcze jej tchnienia nie czuł ogół szeroki, jeszcze mnóstwo było ślepych i głuchych... Lecz jasno już widział żołnierz Legjonów, żołnierz I Brygady Józefa Piłsudskiego!... Gdy z wiosną roku 1917 w gruzy rozleciał się tron krwawych carów, jasnem dlań było, że zkolei przychodzi chwila na zwrócenie frontu walki przeciwko dwom innym zaborcom. Narzuconą rotę sławetnej przysięgi „beselerowskiej" przyjął żołnierz Legjonów jako wyzwanie i odpowiedział buntem. „Precz z przysięgą Beselera!". Poszło hasło od I Brygady i zapaliło we wszystkich pułkach rewolucyjne, tajne ogniska. Oczy jednak i uszy tych ognisk płonących, wytężone były w stronę Warszawy, gdzie w samotni, pozornie oderwany od wszelkiego zetknięcia się ze światem, przebywał Komendant Polskiej Głównej Kwatery Wojennej, skąd stale szły natchnienia i bodźce naszych wszystkich wtedy poruszeń.

Przyszła wówczas jedna chwila nadzwyczaj ciężka. Była to chwila, gdy dzielni nasi koledzy-królewiacy za bunt przeciwko narzuconej przysiędze „na braterstwo broni z Niemcami i Austrją" mieli pójść za druty kolczaste Szczypiorna i Benjaminowa, gdy my z zaboru austrjackiego, dobrowolnie mieliśmy się zgodzić na rozstanie z naszymi najserdeczniejszymi



Komendant w Lasku Polskim w czerwcu 1916 r.
Fot. ob. Kamer-Wojtyga.

druhami, gdy prawie sami, własnemi rękoma, mieliśmy ich wydać w ręce oprawców.

Zbuntowała się w nas przeciwko temu nasza młoda wola. Szalona myśl poszła po szeregach...

Nie dopuścić do krzywdy! Nie wydać dobrowolnie własnych towarzyszy! Gdzie pułk stoi, tam zamknąć się i z orężem w ręku bronić dostępu! Gdy zaś uda się przebić przez opasujący pierścień wroga, iść na południe, może w Lubelskie... i tam płomień walki powstańczej rozpalić...

Pamiętam — te same myśli — ognie snuły się i w naszym obozie czwartackim w Łomży. Wśród „re-

lutońskiej" wiary, wrzało jak w ulu. Padały gorące słowa, zrywały się niespokojne pragnienia. Zaciskały się pięści, dłoń za karabin chwytała. Coraz zawziętszem okiem spoglądał Czwartak na stacjonowany w Łomży bataljon pruskiej piechoty, obliczał jeno siły własne i szanse. Obrona w zamiejskich koszarach, marsz na Ostrołękę ku innym pułkom legjonowym, czy też daleki marsz na Lublin — coraz częściej były tematem roztrząsań żołnierskich.

W takim to właśnie czasie, miotany najsprzeczniejszemi myślami, wraz z Adamem Ajdukiewiczem, podówczas majorem 4 pułku, znalazłem się w Warszawie. Pod naciskiem najsprzeczniejszych myśli i jeszcze sprzeczniejszych słów i wskazań, zasłyszanych w stolicy, popadliśmy obydwaj w głęboką rozterkę. Wiedzieliśmy, jaki nastrój zostawiliśmy w pułku, wiedzieliśmy, na co każdej chwili mógł się porwać żołnierz. Jak go wstrzymać i czy istotnie należy go wstrzymać!?...

W takiej godzinie niepewności obydwaj zgodnie odczuliśmy, że decydującem dla nas i dla naszych towarzyszy broni może być tutaj tylko jedynie słowo Komendanta.

Tego samego jeszcze dnia o późnej bardzo porze nocnej (w myśl otrzymanej wskazówki) zapukaliśmy od mieszkania Komendanta przy ul. Służewskiej.

Spojrzały ku nam Jego stalowe oczy, na tle twarzy, nacechowanej widocznem znużeniem, patrzące, jak zawsze, mocno i spokojnie. Spojrzały z zapytaniem.

Z miejsca zameldowaliśmy, z czem przychodzimy. Opowiedzieliśmy wszystko, co i jak dzieje się w pułku, jaki nastrój przeważa, na co najchętniej pragnie pójść cały ogół żołnierski. Zapytaliśmy co czynić zatem, czy iść przeciwko wzbierającej fali i za wszelką cenę opanować wzburzenie — czy też wręcz przeciwnie.

Słuchał naszej relacji Komendant, tam i napowrót chodząc po pokoju. Słuchał jej jednak spokojnie. Widocznie, że wiadomość nasza nie była dlań już żadną nowiną. Zapewne taką samą dzień w dzień musiał otrzymywać i z innych pułków. Znał ją i odpowiedź na nią miał już zdecydowaną. To też gdyśmy skończyli swą relację, Komendant przystanął przed nami i bez ogródek oświadczył:

— „To, o czem mówicie, jest w tych warunkach stanowczo niemożliwe. Niestety koledzy wasi muszą wycierpieć to, co ich czeka. W obecnem położeniu moglibyśmy się zdobyć tylko na czyn rozpaczy. Nam zaś teraz nie pora na czyny rozpaczy z 63 roku. My idziemy do zwycięstwa! Tylko trzeba będzie czas jakiś jeszcze przeczekać i wycierpieć to, co sytuacja nakazuje. Wierzę, że my to przetrzymamy!...".

— „Ja osobiście — dodał po chwili — podzielę los z kolegami waszymi. Pójdę do więzienia. Dziś właśnie złożyłem Beselerowi oświadczenie, następstwem którego musi być moje uwięzienie.

— Nie smućcie się jednak chłopcy, pomimo wszystko idziemy do zwycięstwa!...

I oto znowu, gdy w ciszy nocnej padały proste słowa tej niełatwej zapewne decyzji, przypomniała mi się tamta chwila przed trumną Wielkiego Powstańca.

Przypomniała mi się jako żywo zapowiedź, jaka z ust tego samego człowieka padła proroczo, gdy mówił o twardej więziennej doli, o krwawem męczeństwie, które nieuchronnie czekało na drodze nowego Polski żołnierza.

Przypomniała mi się i natchniona, niepojęta Wiara tego samego człowieka, który jak wczoraj, tak dzisiaj poprzez głuchą noc życia, czy przez krwawe pole trupów, czy poprzez serca udrękę, niezachwianie Polskę prowadzi do Zwycięstwa.

Bolesław Pochmarski.

Atak.

Padł rozkaz nagły — jak grom — w szeregi,
Komenda: „Naprzód" Marsz do ataku"!
I jak pod grozą boskiego znaku
Rój zbrojnych wypadł na szańców brzegi.
W stronę gdzie rdzawe pełzną zasieki
Szał dzikiej walki kolumnę niesie
Jak nurt burzliwy wezbranej rzeki
Z pędem, co wszystko w drodze obala,
Z siłą, co każdą zaporę zniesie —
Jak rozhukana żywiołu fala.
Szał dzikiej walki kolumnę niesie...

— — — — — — — — — —

Rozwianym płaszczem wiatr mi łomoce
I nic nie widzę — krom mgły rozwlekłej,
I nic nie czuję — krom żądzy wściekłej,
W wir mnie drą jakieś tajemne moce...
Krew mi żre oczy, pierś ciężko dysze.
Już nic nie widzę — już nic nie słyszę...
Huk mi straszliwy czaszkę rozsadza,
Pianę mam w ustach, a jad w źrenicy —
Zwinność jastrzębia, pazury lwicy!
Człek we mnie zamarł...
...zwierz się wyradza!
W bagnetów lesie z huczącym rojem
Pędzę naoślep — naprzód — przebojem!

(Nad Styrem, w czerwcu 1916).

Adam Grot Kowalski.

Sylwetka.

Schody na pierwszy pluton — Odstęp — Dystans 20 kroków — kompanja marsz! huczał kompanijny.

Jeszcze na dystansach i odstępach dziesięciu kroków czułem rytm ten sam w kompanji, ruch mocny jeden — potem jakieś załamywanie się, jakaś płynna fala przeszła przez kompanję. Instynktem dobrego piechura wyczułem, że za chwilę podstawa musztry — rytm załamie się, że kaprale będą kląć począwszy od dziadów, prawe i lewe nogi zmieszają się i kompanja zamieni się w rozlazłe gromadki raz zbite do środka, raz rozchodzące się od środka, a w zmęczonym mózgu szła sobie jedna myśl trwożna: „zaraz zrobi się z plutonów harmonijka".

Krok! ryczeli plutonowi wściekli. Mają rację, myślałem, jabym się już wściekł. Stój! zadecydował wreszcie kompanijny — odbiegł gdzieś przed siebie, stanął, znak zbiórki i znów to samo. Schody na pierwszy pluton! Gdy po czwartej zbiórce wreszcie schody wypadły zadawalająco, pozwolono nam spocząć i zapalić. Paliliśmy więc błyszcząc w słońcu nowemi orzełkami, pierwszemi strzeleckiemi orzełkami jeszcze nieoksydowanemi.

Pluton, w którym szedłem, był częścią składową szkoły podoficerskiej „Związku Strzeleckiego" we Lwowie w roku 1913. Źle mi się dziś wiodło. Mój towarzysz z lewa, ten z którym miałem czucie irytował mnie źle wyczutym rytmem w marszu. To się nie da wprost określić tę jakąś setną część sekundy, o którą później stawiał nogę w chodzie niż ja. Zwrócić mu uwagi nie chciałem, bo to byłoby bezskuteczne. On uwagi nie zrozumie — był już za stary, by móc chodzić w rytmie młodych zdrowych nóg. Był dozorcą jakiejś kamienicy we Lwowie, mógł mieć przeszło sześćdziesiąt lat, a najpilniej chodził do Związku na wykłady i ćwiczenia. Średniego wzrostu, silnie zbudowany o obwisłym siwym wąsie, w marszu kołysał się nieregularnie na zlekka do siebie zgiętych nogach tak, jak to czynią ludzie, którzy już wiele drogi w życiu przebyli. Dlatego nie miał rytmu i dlatego nie zrobiłem mu uwagi.

. . . .

W czwórkach żołnierze rozpięli bluzy. Nierówno jak u robotników wracających z pracy padały stopy na ziemię, że się niósł wzdłuż gościńca grzmot idącego tłumu ludzkiego bez taktu. Nikt nie śpiewał i nie grał. Szliśmy już około 20 wiorst. Gdy się jest w marszu, marzy się, wspomina, rodzą się i giną światy całe w myśli wędrowca i nic z tego nie pozostaje. Z zadumy zbudził mnie głos dochodzący z poprzedzającej czwórki: „I otoczyli ich we dworze — a po kilkugodzinnem strzelaniu udało się Moskalom podpalić budynki. Spalili się wszyscy powstańcy. Gdy Moskale odeszli byłem w tłumie, który wydobył ich spalone ciała i chował na cmentarzu". Przeszedłem do mówiącego i idąc jako piąty bokiem gościńca, poznałem w opowiadającym mego sąsiada z lwowskich ćwiczeń przedwojennych i spytałem go o kim mówi. „A o powstańcach, bo ja obywatelu z rodu jestem Królewiak, pamiętam powstanie jako młody chłopczyna — nosiłem kartofle i chleb do ich obozu".

Tego dnia długo szedłem przy jego czwórce i z podziwem wpatrywałem się w jego starą twarz, jak pot po bróździe policzków spływał ku siwym wąsom, a gdyśmy weszli na rynek Jędrzejowa otoczył nas tłum chłopów podziwiających starego żołnierza. Jeden z nich mówił, że zarazby poszedł z nami — „tylko że wy macie jednostrzałowe karabiny, a Moskale pięciostrzałowe — zresztą jestem za młody". Za młody? pokiwał smutnie głową mój siwy strzelec — ja dzieckiem zaczynałem powstanie a w starości je kończę. I tak niósł pierwszą pobudkę on Królewiak, stróż lwowski dźwigający tornister, karabin, trzysta ładunków, chlebak, łopatkę na sześćdziesięcioletnich zlekka ku sobie zgiętych z trudu nogach. Szedł jakby w śnie cudu. Im głębiej w kraj, tem więcej radości w nim widziałem, młodniał w oczach. Śpiewał bardzo wesoło kaszląc przez połowę pieśni. Oczy tylko — jego biedne oczy płakały w kurzu gościńca — ocierał je też często kułakiem i skarżył się że źle widzi. Słabo widzę, mówił wogóle, a już w marszu jak kurz a gorąco, to jakbym przed sobą miał watę nie powietrze.

Oczy te sprawiły że zginął. Choć przy jego śmierci nie byłem, wiem podświadomie że zginął. Jeszcze przed Laskami zauważyłem brak starego strzelca. Pluton stracił swój charakter, bo on nie kto inny nadawał mu piętno odróżniające go od reszty kompanji. Na moje pytania dowiedziałem się, że podczas jednej z walk leśnych biegł naprzód z okrzykiem „Hurra". Oto ostatni jego obraz odbity w tęczówkach towarzyszy.

A może mnie źle poinformowano? Może żyje? Wątpię. Choć nie patrzałem na jego zgon, choć nie widziałem go w chwilach ostatnich, gdy bez opamiętania gnała go moc jego uczuć naprzód, gdy gubił go słaby wzrok, wiem, że zginął.

Świadomość zimna woła, że może jeszcze żyje? Donieście mi towarzysze broni jeśli żyje. Pragnę tak bardzo uścisnąć i ucałować jego ręce. Pojadę do niego gdziekolwiek jest — lecz zdaje mi się, że już złączył się z tymi, których spalili Moskale w 63 roku po kilkugodzinnej walce. Pewnie gwarzy z nimi w siwej maciejówce wśród rogatywek z kokardami o Polsce tej, która jest i o Komendancie, on stróż lwowski, strzelec i stary bojowiec Wolności.

Kazimierz Dzieliński.

Cztery mogiły.

Ballada.

Nad bagna leśne wzniesion szumnie,
W modrzewi hufie król i pan,
Pagórek patrzał wokół dumnie
„Koroną lasu“ słusznie zwan.

A niby brylant w tej koronie,
Kapliczka błyszczy w wianku zbóż.
Żołnierskie ją złożyły dłonie,
Z gałęzi białych, polskich brzóz.

Wieżyczka pnie się w leśne wyże,
Przy wieży mały cmentarz tuż.
Cztery tam jeno bielą się krzyże.
Snać czworo tam spoczęło dusz.

Cztery tam krzyże wśród jałowcu:
Na jednym kaszkiet ruski drży,
Na drugim szary hełm w pokrowcu,
Pod trzecim krzyżem „austrjak“ śpi.

Cierniowy wieniec, znak męczarni,
Czwartego krzyża oplótł słup.
Pod krzyżem — orzeł polski z darni...
Znać legjonisty jest to grób.

Hej! Jak pokornie łan się im ścieli —
O, bo z nich w boju każdy był zuch,
Bo lacką w żyłach swoich krew mieli,
A w czterech duszach żył jeden Duch.

Noc w kiry tuli niebios gmach,
Po lesie mkną rozgwary.
W kaplicy krzyżem, w kornych łzach,
Żołnierskie leżą mary.

W ponurej głuszy dziwnie drży
Ten pacierz zagrobowy...
Miast gromnic — ognik w bagnie skrzy
A w organ huczą sowy.

„O Panie, słońca promień zślej,
„Na męki szlak ciernisty,
Słoneczny promień Polsce mej!“
To modły legionisty.

A żołnierz, co miał pruski strój
Tak szepcze: „Do serc laszych
Wszczep wspólność myśli — Panie mój
Miljonom braci naszych“...

„Przecięły łono ziemi mej
Granice trzy — o Panie!
Ty Królu Mocy zmaż je, stlej“...
„Austrjaka“ to wołanie.

A cień w szynelu wbił się w mrok,
To drży, to łka... to wyje,
W Chrystusa błędny wlepił wzrok,
I w pierś się nagą bije...

„O czemu Panie — jęczy w głos —
Gdyś święte słał orędzie,
Poniżył mnie — jak wicher kłos...
Dziś z braćmi ja nie w rzędzie!“

„Ja sam, ich trzech tam — braci trzech
Mierzyło w moje serce...
Ha brat mój kat! Gdzie Bóg? o grzech!
My bracia i — morderce“.

W ponurej głuszy dziwnie drży,
Ten lament zagrobowy,
Miast gromnic — ognik w bagnie skrzy,
A w organ huczą sowy.

Z zarajskich wyżów,
Na ziemię krzyżów,
Gwiezdnego posła z nieb wysłał Bóg,
Na krwawe pola, kędy Śmierć pląsa,
Gdzie w grobach kośćmi poległych wstrząsa,
Morderczych armat gromowy huk.

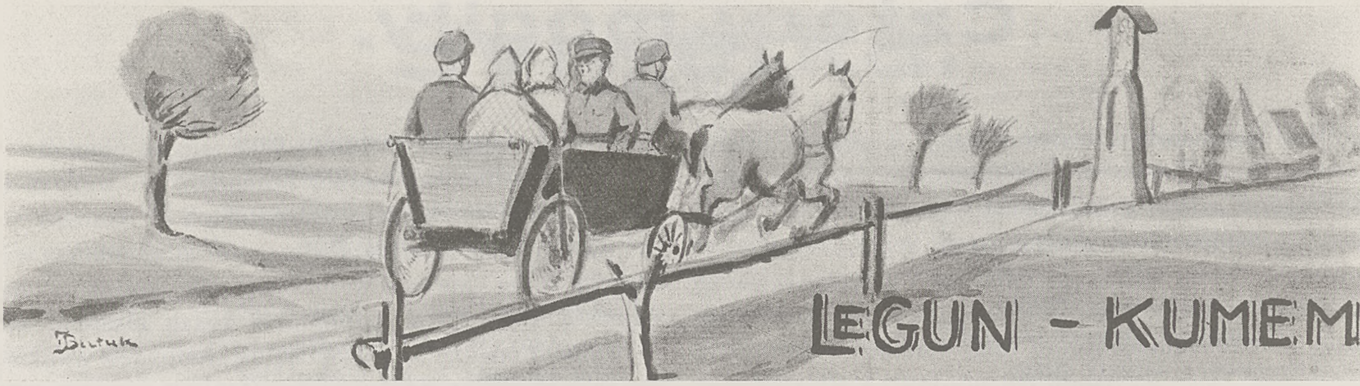
I wzbił się świetny,
Ponad łan kwietny,
Boży wysłaniec w bezbrzeżną dal...
Lżejszy nad chmurki, w gwiazd srebrnem kole,
I z palmą w dłoni, z Jutrznią na czole,
Płynął na skrzydłach wichrowych fal...

Z za mgłowych tkanin,
Dostrzegł niebianin,
Jak chwackiej młodzi żelazny huf,
Parł, wytężając zasób sił wszystek,
Więc uszczknął z palmy chwalebny listek,
Spuścił leciuchno w strzelecki rów....

I znów rozwinął,
Skrzydła i płynął,
W stronę kaplicy... zawisnął tuż,
Mogiły ciche łzą zwilżył czystą,
W górze zawiesił jutrznię ognistą,
I błogosławił tragedji dusz...

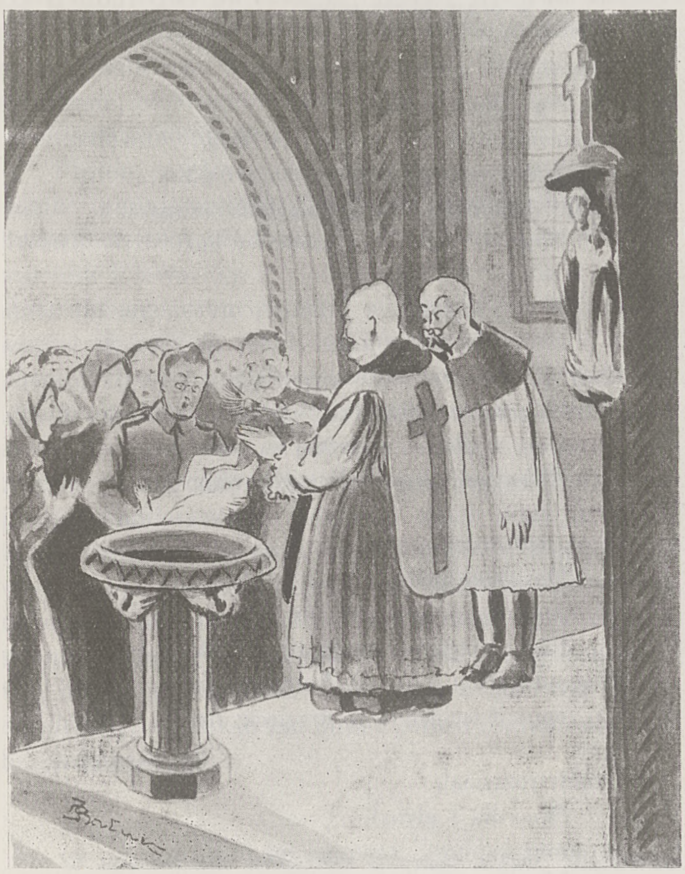
Pod Czartoryskiem, w czerwcu 1916 r.

Adam Grot Kowalski.



Po odpoczynku i reorganizacji, transportami z Białej ad Bielsko odjechała pierwsza brygada na front.

Już pod koniec naszych wywczasów w Kętach i okolicy dochodziły nas różne wieści, że pójdziemy... raz na południe, raz na północ, raz do Galicji, drugi raz do„ Kongresówy“ i koniec końcem, wywieziono „wiarę“ odżywioną i gruntownie odnowioną pod względem umundurowania do Kongresówki.



Legun kumem.

Trzeba dodać, że odnowienie munduru polegało w bardzo wielu wypadkach na tem, że jakieś litościwe rączki niewiasty, niemiłosiernie poszarpane hajdawery leguna pościbały do kupy, a w ostateczności przywaliły morową łatę i mundur na nowo był nowy — ale siwy — ten nasz, z którego szczątków nie oddawało się nawet za nowe austrjackie bluzy.

Pożegnawszy gościnne progi mych zacnych gospodarzy Korczyków w Kętach, którzy z podziwem cichych patrjotów patrzyli na długotrwałe moje znęcanie się nad ich pięknemi okazami świetnie smażonych karpi przez cały czas mego u nich postoju, zostałem wraz z innymi „wstawiony“ do transportu i odjechałem aż... do Jędrzejowa.

Tu naprędce, tak jak się u nas mówiło „chybcikiem“ w czasie marszu zdążyłem się zapoznać ze stosunkami miasta o tyle, żem poznał „ciocię“ Smagłowską, która już w swej aptece masowo przyjmowała zapotrzebowania w bój idących relutonów.

Jak przystało, dostał człowiek trochę waty i jodyny — dobre słowo i zachętę, że gdyby znowu kiedyś losy i t. d. — to zawsze wstęp wolny, pomoc i porada na... ból zębów murowane.

Przez Opatkowice, Grudzyny do Bełku nad Nidą przyszliśmy, jak przystało hożo, dziarsko i w kupie, to znaczy nie było nijakich „łazików“.

Wieczorem luzujemy austrjaków.

Suną chudaki z 99 pułku i mało nie ryczą z radości, że te drańskie błota Nidy pod Pińczowem mogą odstąpić bez odstępnego, naprawdę ochotnikom wojny, legjonistom Józefa Piłsudskiego.

Zrzedły wiarze miny w sposób dość widoczny, ale „byczo jest“, przecież nie wszyscy będziemy ciągle w rowach, napewno za kilka dni pójdzie coś tam do rezerwy, no a wtedy, to już jakoś będzie.

W rezerwie z moimi 7 kolegami sekcji dostaliśmy kwaterę w domku, złożonym jeszcze z jednej izby z kawałkiem sieni, gdyż drugą połowę chałupy nasi poprzednicy jeszcze w jesieni rozebrali, nie myśleli o zimie — albo napewno liczyli na to, że w zimie ich tam już nie będzie. W izbie gospodyni staruszka z córką, która w pierwszych miesiącach 1914 r. wyszła za mąż, ale już, jakby była „gdową“, gdyż chłopa jej „ruski“ do wojska zabrał.

Z uwagi, że w stodole, która miała jeszcze dach, ściany były bowiem już nieco dalej w okopach artylerji nad Nidą, stały nasze ciągle z zimy drwiące konie, które zależnie tylko od kierunku w sposób wzgardliwy ustawiały się swoimi „wylotami“ do wiatru.

W izbie była jeszcze tylko jedna jedyna krówka, jak babcia gwoli pewności mówiła, kilka kur, prosiak, no i nas chłopów ośmiu w pełnym rynsztunku.

Dzień nie wywoływał u współmieszkających kolizji, za to noce nasuwały wprost przedziwne komplikacje.

Przy dobrej woli jednak każdy zdobywszy „na stałe“ swoje kilka łokci klepanej z gliny podłogi, żyliśmy sobie ochoczo, dziękując Bogu, że i tak mamy chałupę, bo koledzy z innych plutonów współzawodniczyli z końmi po stodołach.

Było nam sielsko, niby w raju, aż tu pewnej nocy niesamowity jęk z zapiecka jął nas dochodzić — pobudzeni je-

den przez drugiego najprzód dla pewności przeliczyliśmy „braci śpiących", bo niewiadomo, czy też który „gwoli figlów nie poszedł na przypiecek", wszystko bractwo jednak leżało, jak się patrzy na swych miejscach, tylko jęk stawał się coraz głośniejszy.

W świetle jasnego księżyca zsuwa się z łóżka nasza stara gospodyni i mierzy wprost do sekcyjnego, szepcząc mu coś poważnie do ucha. Po chwili krótkie słowa sekcyjnego — alarm! pakować się! zbiórka przed chałupą! Noc — cudowna, śnieg się skrzy, na pozycjach bulgocą „ziemniaki" (na skrzydłach strzelają gwoli pewności austrjacy Panu Bogu w okno) — maszerujemy w stronę organistówki (tam była komenda bataljonu i kompanji).

Po drodze spotyka nas dziś generał W. P. Olszyna; z miejsca meldunek: „Obywatelu Komendancie! Druga sekcja trzeciego plutonu pierwszej kompanji opuściła kwaterę, bo nam się dziecko rodzi i baba strasznie jęczy". Chwila ciszy — uśmiech Olszyny serdeczny, a następnie koleżeńska rada: „Wicie co chłopcy, idźcie sobie na małą patrol w kierunku Tura, a do rana może będzie po krzyku". — Idziemy.

Po drodze zawadziwszy o przyległy cmentarz, zagotowawszy kawy w zaciszu otwartego grobowca, siedząc na trumnach spokojnie odpoczywających, zdaje się niedawno pochowanych nieboszczyków, ujrzeliśmy świt, a z nim nadzieję odzyskania utraconej kwatery.

Z bijącemi sercami oczekiwaliśmy, co kapral za wiadomość z chaty przyniesie. Wychodzi — ze słowami: Jest! — Co? Kto jest? — Chłopak jest! — Brawo! Chłopcy paką walą do izby zpowrotem; szczęśliwa młoda matka ze łzami radości nas wita i wszystko w porządku, tylko izba ma o jednego obywatela więcej, który miał wprost dzikie wymogi codziennej kąpieli, wrzeszczał przytem jak opętany, widocznie z radości, że go zaraz do wojska nie wezmą.

Stosunki w izbie, jakby familijne, a rezultatem tego zaproszenie sekcyjnego na kuma. Zgoda!

Pozwolenie z Komendy jest. Dwa niesforne mierzynki od karabinu maszynowego zaprzężone do wozu zawiozły całe towarzystwo z kumami do kościoła. W kościółku nastrojowa glusza. Tylko armaty przypominają ciągle, że każdemu tu obecnemu do Zbawiciela niedaleko. Wychodzi ksiądz staruszek; — dziecko przypadkowo trzymał nasz sekcyjny, gdyż kuma, która według obowiązkowego zwyczaju winna była trzymać chłopaka do chrztu, odeszła po coś do wozu. Ksiądz zaczyna obrzęd; wymawiając uroczyście słowa: „In nomine Patris et Sanctus" i t. d. naraz ze zdumieniem przerywa i drżącemi ze śmiechu wargami mówi, „Człowieku, ot tu są nogi".

Noworodek na rękach ojca chrzestnego po raz pierwszy wykonywał zwrot głową do góry i tu sobie wrzasnął w sposób niemiłosierny, odbijając z nawiązką owe chwile, gdy głową nadół trzymany pod pachą nie mógł nabrać tchu.

Obrzęd chrztu dobiegł do końca, jednak czcigodny proboszcz, trzęsąc się cały ze śmiechu stwierdził, że za trzydzieści lat swego kapłaństwa po raz pierwszy rozpoczął chrzest od nóg dziecięcia.

Skąd ta przygoda? Oto stąd, że w tej okolicy byłego Królestwa nie zawija się dziecka w poduszkę, ale stawiając poduszkę na jednym rogu, wgniata się w tejże rodzaj gniazda i tu wkłada się dziecko.

Pech chciał, że biedny reluton, aż w ten sposób dla niego okropny o tym zwyczaju się musiał dowiedzieć.

Osłodą tej przygody były wesołe chrzciny legjonowe, a nowy obywatel otrzymawszy imię Józef — w sposób niezwykle radosny — nieprzyzwoicie rozmamany — machał golemi gicalami na owej poduszce i wrzeszczał na całe gardło z podziwu może dla tej ilości rumu, która wskutek jego przyjścia na świat sowicie zwilżała nasze mocno spragnione grdyki.

W szczęściu i radości, w zgodzie i nastroju, posnęło silnie zamroczone bractwo, gdzie i jak kto mógł, by się zbudzić rankiem i rozpocząć dalej życie normalnym trybem relutona. — A był to swoisty taki, nieopisany, niezapomniany — umiłowany tryb. *R. R.*

Dzieje jednego patrolu.

W czasie ofenzywy w lutym 1915 r. zatrzymaliśmy się na linji Dniestru na wysokości miejscowości Podwerpce. Po trudach walk zimowych, wypoczywaliśmy na kwaterach, nabierając sił do dalszych działań. Przed nami za wodą fałdowała się rozległa płaszczyzna pól i lasów. Obserwowaliśmy z ciekawością wioski leżące na przeciwległym brzegu, bo robiliśmy sobie apetyt na kozuniów, a szczególnie na kozackie buty. Pędziliśmy przed sobą te kozackie hordy, napuszczone dziegciem, aż od przełęczy karpackich. Nastrój w naszej kompanji był znakomity. Wszyscy rwaliśmy się na patrole, w czasie których po wioskach i chatach odżywialiśmy się na całego, korzystając z uprzejmości ludności, tak polskiej jak i ruskiej, która z wielkiem zaciekawieniem przypatrywała się polskiemu wojsku. Podziwialiśmy piękno przyrody, pokrzyżowanej jarami i parowami, wcinaliśmy z triumfem jaja, mamałygę i ogórki.

Pewnego dnia, student przybyły z przeciwległego brzegu, doniósł komendantowi kompanji, że po drugiej stronie wody gospodaruje się na dobre większy patrol kozacki, rekwirując konie i nakładając kontrybucję na mieszkańców. W to nam graj! Szybko uformował się patrol z ochotników z pierwszego i drugiego plutonu pod dowództwem ś. p. Zalewskiego i Ławicza-Orlicza. Tego samego dnia ruszyliśmy w stronę Dniestru, ażeby się przeprawić na drugi brzeg, celem zafasowania tych koniokradów. Szliśmy z rozmachem i wesoło, a było nas wszystkich szesnastu — ponadto towarzyszył nam wspomniany student, a w drodze przyłączył się do nas honwed węgierski.

Gdy przybyliśmy na brzeg Dniestru, słońce już kryło się za zębate wierzchołki gór, rzucając snopy płomieni w łamanych zygzakach na kręte porohy rzeki. Wieczór się zbliżał wśród majestatycznej ciszy, przerywanej jedynie pluskiem i pomrukiem toczącej się wody. Przeprawa nie była łatwa, ponieważ mieliśmy do dyspozycji tylko jedno czółno



Komendant Piłsudski i ks. biskup Bandurski na Polskiej Górze. przed ziemianką komendy 5 p. p. Leg. 31. V. 1916 r.

Fot. Kamer-Wojtyga.

zdolne utrzymać z biedą dwu chłopów na wodzie. Wychowany w Krakowie nad Wisłą, puściłem się pierwszy z Hruścielem przez wodę i dobiłem szczęśliwie do brzegu, mimo, że mój Hruściel trzepał portkami jak osika. Kiedy ukończyliśmy przeprawę był już dobry wieczór. Zostawiwszy posterunek przy czajce, ruszyliśmy w drogę szerokim gościńcem, mając po lewej stronie zarośla i krzaki. Szedłem z kp. Studzienieckim na szpicy, a obok nas postępował student w czerwonym płaszczu i z karabinem w ręce. Za komendantami plutonów szli: Buczek, Jamróz, Tłuszczak, Rausiński, M. Zalewski, Serwaczyński, Kisiel, Szufa, Dziedzic, Masiuś, Markiewicz, St. Kowalski, Sadowski, Weinreb, Nowakowski, Grełowski i inni. Po drodze zatrzymaliśmy furmankę, na której młody parobczak wiózł sieczkarnię. Nie wdając się w jakiekolwiek pertraktacje z naszą ofiarą, zepchnęliśmy sieczkarnię z wozu do rowu, a sami wsiedliśmy na wóz i puściliśmy się w dalszą drogę.

Po kilku kwadransach, zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu gościńców i zsiedliśmy z wozów, które odprawiliśmy na tyły. Po krótkiej naradzie zaczęliśmy się posuwać naprzód z wielką ostrożnością, poprzedzani przez studenta z karabinem. Podzieleni na dwie grupy, zbliżaliśmy się ku willi stojącej w ogrodzie. Podeszliśmy prawie pod sam budynek zapatrzeni w światło, wydostające się z okien wysokiego parteru. W jednej chwili z lewej strony, nasi przycapili straż złożoną z miejscowych Rusinów, uzbrojonych w rosyjskie karabiny i odprowadzili tę hołotę nabok. Równocześnie zostały zajęte konie kozackie i wyprowadzone ze stajni. My znów rozbijaliśmy się za wejściem, ażeby się dostać do wewnątrz. Wszystkie drzwi były pozamykane. Wówczas na rozkaz komendanta patrolu wyskoczyłem na ramiona jednego z kolegów, ażeby zaglądnąć do środka izby przez oświetlone okno. Przybliżywszy głowę do szyby, zaraz zakręciłem się wdół w stronę komendanta ze słowami:

Są, panie komendancie, takie ogromne kacapy — jest ich sześciu i grają w karty.

Nie było na co czekać. Odnaleźliśmy szybko na lewo drzwi i wpadliśmy do małej kuchni, na środku której leżał pijany jak bela Rusin, a obok niego karabin i kupa jaj. Rusina wywaliliśmy szybko na dwór i zaczęliśmy małemi schodkami wychodzić na górę, zachowując całkowitą ostrożność, ażeby nie spłoszyć dzikusów, bo pozycje nieprzyjacielskie były blisko. Przebywszy kilka schodów, otwarłem drzwi małego pokoiku i zobaczyłem kilku chrapiących pod pierzynami kozaków, a widać było tylko buty i czarne brody. Z drugiego obok pokoju padało przez uchylone drzwi maleńkie światełko, tam kacapi grali w karty, mając karabiny poskładane w kącie zaraz przy wejściu. Widząc jak się sprawa święci, rzuciliśmy się błyskawicznie na grających i śpiących z okrzykiem: ruki wirch!

Kozacy zaskoczeni nagle, nie mieli czasu się opamiętać. Tylko ich komendant, ubrany po cywilnemu, odskoczył gwałtownie od stołu i złapał za rewolwer. Lecz to mu się nie opłaciło. Dostał drań kolbą po łapach aż mu rewolwer wyleciał do góry i skulił się w kąt.

Tymczasem przystąpiłem odważnie do śpiącego kozaka, witając go ze śmiechem —

Towariszcz! auf! bo zupa!

A ten ani rusz! Wtedy chwyciłem go za brodę, która mu sięgała prawie do pasa i postawiłem go na nogi. W ten sposób pobudziliśmy wszystkich. Byli niemile zdziwieni i zaskoczeni i oglądali się wokół siebie, wytrzeszczając ślepia. Po zrewidowaniu spychaliśmy ich wśród śmiechu i radości nadół, ze schodów. W nadmiarze entuzjazmu zapomnieliśmy wszyscy, że byliśmy na stronie nieprzyjacielskiej i gospodarowaliśmy się w najlepsze. Kolega Jan Rusin z naszego plutonu zafasował sobie na pamiątkę gąsior spirytusu i tak się napoczekaniu urżnął, że trzeba było i jego brać do niewoli.

Zaladowawszy jeńców i zdobycz ruszyliśmy w stronę Dniestru. *Jan Sysło*, legjonista 1 komp. 2 p. p. Leg.

Cieniom ś. p. Dra Tadeusza Zwisłockiego.

Odeszłeś od nas towarzyszu broni,
Jako od serca odchodzi marzenie,
Jeno zostało przy Twej martwej skroni,
Służby ofiarnej podniosłe wspomnienie...
Odeszłeś od nas w majestacie życia,
Którego boje wydrzeć nie zdołały,
Jak ten, któremu zgasły złote śnicia,
Jak ten, któremu jeno łzy zostały,

Co się na trumny toczą czarne wieko
Z ócz Twych przyjaciół i Rodziny grona.
Ale choć jesteś dziś od nas daleko...
Choć serce Twego nie ożywi łona,
Imię Twe w wolnej Ojczyźnie zostanie
I czynów Twoich nieśmiertelne ślady,
Z których w przyszłości duch potężny wstanie,
Ten duch, co życie wziął z pierwszej Brygady.

W. Cz.

Lodowiec w Tatrach.

W roku 1924, badając największe pole śnieżne Tatr w kotle Miedzianej Ławki pod Łomnicą, pod wierzchnią warstwą śniegu znalazłem ukryty prawdziwy lodowiec.

Rzecz zdawałaby się nie do wiary; przecież było już przesądzoną kwestją, iż Tatry nie posiadają lodowców, tylko je posiadały kiedyś i to bardzo potężne w czasie nawrotu kilkakrotnych faz epoki lodowej, czego świadectwem są potężne moreny, kotły lodowcowe i inne formy, świadczące o tym procesie. Natomiast wiedziało się, iż w Tatrach są wieczne śniegi jako zjawisko związane z klimatycznemi i orograficznemi warunkami naszych gór. Ubytek bowiem ciepłoty wraz z rosnącą wysokością jest powodem, że na szczytach śnieg pada przez większą część roku. Ponieważ zaś opady śnieżne zimowe są bardzo obfite (2 do 3 m grubości), a od topnienia bronią się pewnego rodzaju pancerzem, t. zw. szrenią (śnieg nadtajały i zmarznięty), przeto krótkie a chłodne lata nie są w stanie wytopić doszczętnie masy śnieżnej i w ten sposób utrzymują się pola wiecznych śniegów. Pola te trwają z roku na rok, a miąższości tylko i kształty ich zmieniają się żależnie od więcej lub mniej gorącego lata.

Dotychczasowe obliczenia wykazały, że wieczne śniegi zajmują w Tatrach zaledwie 0,9 km² a dla tej swej małej przestrzeni nie wystarczają na wytwarzanie się lodowców. Pola śnieżne, związane z teoretyczną granicą wiecznego śniegu, występują tylko w Tatrach w pasie od Mięguszowieckich Szczytów 2437 m ku wschodowi, aż po szczyt Kieżmarski 2556 m, w innych natomiast miejscach występujące wieczne śniegi są już zjawiskiem orograficznem, a więc związanem z terenami zacienionych kotłów skalnych, leżących poniżej teoretycznej granicy wiecznych śniegów.

Granicę obecną wiecznych śniegów obliczono dla Tatr w sposób teoretyczny: jeżeli wysokość tejże dla Alp Oetztalskich i Wysokich Turni pod 47° szerokości oznaczono z wielką dokładnością na 2800 m, a dla Norwegji (Joestedal) w szerokości 81° na 1800 m, to linja ta obniża się z każdym stopniem geograficznym o 180 m. Jeżeli tedy wysokość tej linji dla wschodnich Alp pod szerokością 47° wynosi 2800 m, to dla Tatr w szerokości 49,25° wyniesie 2440 m. Ponieważ zaś w pasie W. Tatr, licząc jedynie wierzchołki osobne, mamy 17 szczytów ponad 2440 m, powinnyby więc one pokryte być wiecznym śniegiem, a mimo to w czasie późnego lata szczyty te są wolne od śniegów.

Śniegi wieczne nie mogą się na szczytach tych utrzymać z powodu ich odosobnienia, ograniczonej powierzchni i nadzwyczajnej stromości, spadają więc w lawinach wdół, reszta zaś ulega w lecie wytopieniu, wyparowaniu i spłukaniu przez deszcze tak, że warunki morfologiczne ukształtowania terenu stoją na przeszkodzie wytworzeniu się stałej pokrywy firnowej. Natomiast, jak to już na początku podkreśliliśmy, utrzymują się w Tatrach w zacienionych kotłach poniżej linji teoretycznej liczne pola wiecznych śniegów, tworzące razem około 40 wystąpień, których t. zw. Ratzlowska linja wiecznego śniegu, określająca dolną granicę odosobnionych płatów, przebiega na stokach północnych Tatr pomiędzy 1600—2000 m. Największe z tych pól znajdują się we wschodnich Tatrach, że wymienimy n. p. potężne pola Miedzianej Ławki pod Łomnicą, Dzikiej Doliny u stóp Baranich Rogów, Doliny Jastrzębiej pod Kołowym Szczytem, Lodowej Doliny na północnym stoku Lodowego Szczytu, Śnieżną Przełęcz i t. d. Zwłaszcza zagłębienie doliny kotła Zielonego Stawu Kieżmarskiego, jak wymieniona Miedziana Ławka, tworzy jedno z największych pól śnieżnych tatrzańskich. Pole to od 1924 roku dzięki swemu szczególnemu wyglądowi stanowi przedmiot mej specjalnej obserwacji, która doprowadziła do stwierdzenia, że mamy tam już do czynienia z prawdziwym lodowcem, o czem przekonałem się ostatecznie w r. 1927 po mej specjalnej podróży do Szwajcarji dla obserwacji alpejskich lodowców w grupie Berniny.

Morfologicznie rzecz biorąc, mamy tutaj do czynienia ze wspaniałem zamknięciem korytowem, do którego uchodzą progami 300-metrowymi wiszące doliny, tworzące w swych najgórniejszych piętrach typowe kary (kotły) lodowcowe. Kotły te wystawione na wschód i południowy wschód posiadają wielce dogodną dla utrzymania się śniegów ekspozycję słoneczną, dalej magazynują w zimie wielkie ilości śniegów, nawianych tutaj z dolin Pięciu Stawów Spiskich i Jaworowej. Wiadomem zaś jest przecież, iż w Tatrach przeważnie panują wiatry południowo-zachodnie i stąd pochodzi nawiewanie śniegów do dolin wschodnich. Wreszcie masywność i wysokość gór w łuku Kieżmarskiego Stawu, gdzie 5 szczytów wznosi się ponad teoretyczną linję wiecznego śniegu, 3 zaś prawie że tejże dosięga, wpłynęła w znacznej mierze na największe w całych Tatarach pola śnieżno-firnowe tych okolic. Zwłaszcza kocioł i żleb Miedzianej Ławki ma wprost idealne warunki do utrzymywania się wiecznych śniegów; mianowicie ekspozycję północnowschodnią tak, że śniegi w tej dolinie otrzymują przez krótki czas światło słoneczne, dalej największą masywność i wysokość szczytów otaczających (Kieżmarski 2556 m, Widły 2517 m, Łomnica 2634 m, Durny 2425 m) i wreszcie bardzo znaczną wysokość doliny od 2050 m do 2300 m, połączoną z dogodną predyspozycją dna; pozwalają na zbieranie się w niem i stagnowanie większych mas śnieżnych.

Wieczne śniegi zalegające dolinę Miedzianej Ławki, poczynają się wgórze od tak zwanej przełęczy Chmielowskiego, pomiędzy Łomnicą i Durnym, zalegając wielkiem polem firnowem wszystkie żleby, sunąc wdół od tejże przełęczy, by potem wytworzyć jedno olbrzymie pole śnieżne trójkątnego kształtu, wydłu-

żające się potem w długi język. Razem długość wynosi 400 m, a szerokość maksymalna 200 m, natomiast szerokość zwężającego się języka jest ku dołowi coraz mniejszą.

Podejrzenie, iż w wypadku śniegów doliny Miedzianej Ławki, mamy do czynienia z prawdziwym lodowcem, powziąłem jeszcze w r. 1923, gdy w sierpniu obserwując je z drogi do Zielonego Stawu, zastanawiałem się nad ich połyskiem w słońcu, różniącym się od połysku innych wiecznych śniegów. Dalej zastanawiały mnie „obfita siklawa", wypływająca na podobieństwo potoków lodowych, zaraz poniżej kształt

tak, że nie utrudniają zupełnie zwiedzenia jaskiń lodowych.

Pozatem występuje tutaj rzecz szczególnie charakterystyczna. Oto na powierzchni znajduje się szereg szczelin podłużnych i poprzecznych, sięgających aż do dna, a pozwalających z góry dostawać się (naturalnie przy asekuracji linowej) do wnętrza lodowych jaskiń. Szczeliny poprzeczne wytworzyły się w miejscu, gdzie lód spiętrza się na progach skalnych podłoża. Zwłaszcza w środkowej partji, widne są duże równoległe do siebie partje szczelin, przebiegających wpoprzek cały lodowiec.



Tatry — Zielony staw.

wielce charakterystyczny, wydłużonego języka, wybiegającego od górnych pól firnowych. Całość zdaleka widziana przypomniała wielce obrazy małych lodowczyków alpejskich, typu Glacier des Bossons.

W roku tedy 1924 postanowiłem się na miejscu, przy samych śniegach, o tych przypuszczeniach przekonać. Stwierdziłem tedy, iż pod warstwą firnu, zalegającą z wierzchu nasze pola, znajduje się niewątpliwie lód, pięknie wstęgowany o miąższości u dołu paru metrów, a w części środkowej nawet do 10 m. Pod lodem tym znajdują się piękne jaskinie lodowcowe, pozwalające odbyć wędrówki, a równocześnie odsłaniające doskonale strukturę denną tych mas lodowych. W lodzie tym zamarznięte są głazy rozmaitej wielkości, jako głazy moreny środkowej. Wody topniejące płyną pod dnem lodu, jednak w b. szczupłej ilości,

Lodowiec nasz w całości pojęty składa się z górnych części firnowych, umieszczonych pod przełęczą Chmielowskiego, następnie w pobliżu środkowych szczelin poprzecznych, tworzy już wybitny lodowiec, z którym poniżej we właściwym kotle skalnym Miedzianej Ławki łączą się dwa boczne pola lodowe, a to jedno z pod Durnego, drugie z pod Łomnicy. W miejscu tem zajmuje największą przestrzeń i poniżej zwężając się, tworzy ową już zdala widną długą wstęgę, typową łapę łodowcową, sięgającą aż do 2050 m. wdół. Samo czoło lodowcowe jest silnie spękane i w przeciwieństwie do lśniących, białych, lodowcowych partyj górnych wielce brudne, gdyż wody, spływające po wierzchu, usadowiły tutaj cały zapas letnich brudnych nalotów. W czasie bowiem silnego nasłonecznienia płyną po wierzchu liczne strugi topnie-

jącej wody, wpadając do szczelin, to znowu żłobiąc w pokrywie wierzchniej firnowej selekcyjne wyrwy.

Ogółem charakteryzując w całości moje spostrzeżenia, powiadam, iż mamy do czynienia z prawdziwym lodowcem, przysłoniętym jednak z wierzchu osłoną wiecznych śniegów, doskonale się utrzymujących po każdej zimie. Dopiero bardzo gorące lato i silne deszcze, mogłyby uwolnić nasz lodowiec z pod tej przykrywy i ukazać naszym oczom błyszczące zwierciadło, ukrytego pod spodem lodu. Dlatego też w późniejszych letnich miesiącach, przed spadnięciem jeszcze jesiennych śniegów, lodowiec nasz zaczyna tak charakterystycznie błyszczeć w słońcu i nabierać pięknych barw, zależnie od naświetlenia. Na zakończenie dodać należy, iż żleb wypełniony naszym lodowcem, należy do trudnych bezdroży tatrzańskich, nieodwiedzanych przez turystów, albowiem wszelkie szlaki turystyczne zawsze omijały zlodowaciałe żleby tatrzańskie, z których najdłuższym i najniebezpieczniejszym był zawsze żleb Dzikiej Doliny jak go zwano w kołach taternickich. Dawne relacje tatrzańskie jak n. p. prof. Gwalberta Pawlikowskiego z r. 1879 podają, iż śnieg w tym żlebie był zawsze tak twardym, że zaledwo ulegał ostrzu ciupagi, a praca około rąbania ciężka i długa przemawiała za wybraniem drogi na szczyt Łomnicy wprost w górę na ścianę skalną żlebu. Ta obserwacja z r. 1879 zgadza się z dzisiejszą po latach 50-ciu z tą tylko różnicą, iż obecnie Tatry, te najpiękniejsze góry Polski, otrzymały najwartościowszą ozdobę w postaci istnienia prawdziwego lodowca, który odkryty przeze mnie został uznanym jako prawdziwe zjawisko glacjalne przez sfery naukowe w roku 1927 na Zjeździe Słowiańskich Geografów i Etnografów.

Na mocy przysługującego mi prawa, odkrytemu lodowcowi w Tatrach nadaję nazwę: Lodowiec im. J. Piłsudskiego.

Dr. Adam Gadomski.

U podstaw nowej sztuki.

Życie artystyczne w Polsce po pewnej depresji i letargu, które zostały wywołane wojną i jej następstwami, poczęło w latach ostatnich rozwijać się na nowo i płynąć coraz pełniejszym strumieniem. Jest to objaw tem bardziej pocieszający, że już po wojnie zagrażał sztuce naszej wróg bardziej od niej niebezpieczny i zdradziecki: konjunktura inflacyjna i łatwy rynek zbytu, który skłaniał wielu artystów do pracy powierzchownej, płytkiej z myślą nie o doskonaleniu się twórczem ale o zysku. Drugiem niebezpieczeństwem, skałą grożącą rozbiciem wielu talentom plastycznym był chaos pojęć, jaki do niedawna panował w dziedzinie sztuki, pomieszanie istotnych, twórczych wartości z bezwartościową plewą; wszechwładna „moda" każąca pod grozą zarzutu zacofania malować tak, a nie inaczej — krępująca wszelki swobodny rozmach, pełne wypowiedzenie się. Chaos ten, nie był zresztą zjawiskiem odosobnionem; panował do niedawna w sztuce europejskiej, pod wpływem wielu nowych, sprzecznych kierunków i haseł rewolucyjnych w stosunku do dawnej sztuki.

Dziś jesteśmy świadkami, jak stopniowo wszystko układa się, krystalizuje, jak z mgławicy sprzecznych pojęć zaczyna wyłaniać się jasny i pełny gmach n o w e j s z t u k i. Może przedwcześnie byłoby stawiać tutaj próbę jej syntezy — niemniej obserwując wystawy lat ostatnich zagranicą i w kraju, musimy stwierdzić odpadnięcie rzeczy krzykliwych, jarmarcznej reklamy, usiłującej za wszelką cenę olśnić i otumanić widza. — Coraz częściej widzi się rzetelną pracę i twórczy wysiłek u artystów. Jak i w innych dziedzinach życia, tak i w sztuce po silnych wstrząsach powraca ład i zachwiana równowaga.

Szczególna rzecz. Dawniej pionierami nowych kierunków, burzycielami uświęconych tradycją haseł były wielkie indywidualności, porywające za sobą całą plejadę naśladowców i fanatycznych wielbicieli. Dziś zjawisko to straciło na jaskrawości — coraz rzadziej spotyka się wielkich odkrywców w sztuce, przerastających jak dumne szczyty, szary tłum artystów. Poprostu możliwości odkrywcze do pewnego stopnia wyczerpały się — dziś nawet trudno wyobrazić sobie tak wielki przewrót, jaki np. wywołali wielcy impresjoniści francuscy w sztuce. Czyżby hasła zbiorowego wysiłku, cechujące nowoczesną demokrację, odezwały się i w sztuce?

Nadto poziom sztuki, doświadczenie techniczne, oraz jej zakres podniósł się tak wysoko, że trzebaby wyjątkowego chyba genjuszu, by na tem polu dać coś zupełnie nowego, coś obalającego całkowicie dotychczasowe pojęcia.

I w Polsce jesteśmy świadkami, że artyści coraz rzadziej idą przebojem samotnie, objaw zrzeszania się, współpracy pod hasłem pewnej idei plastycznej, występuje coraz częściej. Pesymiści mówią o obniżeniu się twórczości, o zaniku indywidualności — twierdzę przeciwnie, że właśnie p o z i o m o g ó l n y podniósł się, wobec czego brak tego tła, na którem błyszczałyby wielkie osobowości. Proszę mnie nie rozumieć źle, nie mówię, jakoby w malarstwie współczesnem w Polsce brakło wybitnych indywidualności, — ale, gdy n. p. przed laty kilku sztuka u nas była domeną wyłączną kilku wielkich nazwisk, obecnie doszła do głosu zwarta ława artystów o mniejszym rozgłosie i pokupności na giełdach malarskich — mimo to o wysokim poziomie twórczym i o szczerej, uczciwej pracy. I nie wielcy generałowie w dostojności i chwale prowadzą teraz bój w okopach sztuki, ale ten, przez mecenasów i handlarzy „nieznany malarz", w biedzie nieraz i głodzie. Spróbujmy określić teraz



Eksportacja zwłok ś. p. Dra Tadeusza Zwisłockiego z kościoła OO. Kapucynów na dworzec w Krakowie. Na czele postępuje Związek Legjonistów ze sztandarem i wieńcem.

Fot. St. Mucha.

cechy istotne tej „nowej sztuki", krystalizującej się ostatecznie z zamętu.

Powstawały obrazy-mgławice, rozpływające się w pseudobarwnym bezkształcie, obrazy nie skomponowane należycie, z całą bezkrytyczną przypadkowością czerpaną wprost z natury, bez celowego, rozumnego uporządkowania. Dołączyły się tutaj różne mechaniczne sztuczki, jak n. p. pointylizm, nie mające ze sztuką właściwie nic wspólnego. Chciano mieć nie obrazy, lecz „naturę", zapominając, że przyroda i sztuka mają każda swój odrębny świat, swoją logikę, swoje środki wypowiedzenia się. Naturalną reakcją przeciw temu był formizm, świat wręcz przeciwny, apoteoza czystej formy, nieraz całkiem abstrakcyjnie pojętej, czysto myślowe, rozumowe ujmowanie zjawisk. Chcąc uporządkować chaos impresjonalizmu, nałożono znów sztuce takie więzy, że oddychać nie mogła. Zapomniano, że sztuka w pierwszym rzędzie opiera się na uczuciu, a później na rozumie, że biednej sztuce odebrano wszelkie środki bezpośredniego przemówienia do widza, że ten zamiast pełnej, harmonijnie brzmiącej mowy, słuchał już tylko stukania alfabetu Morsego.

Malarstwo i rzeźba „abstrakcyjna" jest takim samym nonsensem, jak matematyka pojęta „po malarsku". Nic dziwnego, że i przeciw tym kierunkom obudziła się reakcja, że zarzucono je, z chwilą, gdy spełniły swą rolę „wielkiego czyściciela" pojęć. Pozostała po nich jednak trwała prawda, że obraz jest płaszczyzną ograniczoną, która ma swe własne prawa i logikę, że obraz nie może rywalizować z naturą, bo ta ma środki potężniejsze, odmienne, że musi on dlatego stanowić organiczną całość dla siebie, że choćby najskromniejszy motyw musi być skomponowany, rozłożony na płaszczyźnie należycie — i spełniać rolę całkiem odmienną, niż w rzeczywistości. Laicy biadają nad upadkiem wielkich, „monumentalnych". kompozycyj. Istotnie na wystawach są one coraz rzadszem zjawiskiem. Ci, co tak sądzą, niech nie zapominają jednak, że właśnie ta „literackość" w malarstwie, fałszywie pojęta, „monumentalność", obciążyła sztukę niepotrzebnym balastem i w błąd wprowadziła wielu, co do jej właściwej istoty. Nie odgrzebujemy starych upiorów, z któremi tak gruntownie rozprawił się genjalny krytyk Stanisław Witkiewicz — traktujmy malarstwo więcej z punktu barwy i formy, a nie z „literackiego" balastu. Nic nie nauczy, nic nie przekona ludzi, którzy szukają w obrazie kinowych łez i wzruszeń, czy domorosłej „rodzajowości", którzy szukają wielkich „tematów", a nie widzą piękna i harmonji dobrze skomponowanej i namalowanej martwej natury. Niestety ogółowi trzeba wciąż przypominać, że dobrze namalowany garnek i jabłko, mogą więcej roztoczyć estetycznych wzruszeń, niż źle i z fałszywem założeniem namalowany obraz historyczny lub gładko i nudnie namalowany akt kobiecy.

Przywrócenie więc malarstwu i rzeźbie ich praw właściwych, udoskonalenie techniki, rozdział założeń dekoracyjnych i plastycznych — surowe wymogi kompozycji i rozmieszczenia form i brył na obrazie — stanowią trwałą zdobycz tej rewolucji, jaka niedawno rozegrała się w sztuce. *L. Leszko.*

(C. d. n.).

Bez hasła.

Pseudonimy w Legjonach były zwyczajem powszechnym. To też nic dziwnego, że ludzie w jednej czwórce chodzący, znali się z „twarzy" i pseuda, ale nie z nazwiska. Chodziła więc „Pompka" obok „Koguta", „Żydówka" z „Jezuskiem" i t. d. i t. d.

Późnym wieczorem słotnego wiosennego dnia, wezwano „Pompkę" do Komendy Brygady.

Piękny, jak zawsze porucznik Trapszo, trzymając kopertę i przepustkę, krótko powiada: „Obywatelu pojedziecie zaraz do Jędrzejowa i przywieziecie dla ob. Sławoja-Składkowskiego, to, co wam w korpusie wydadzą". — Rozkaz!

Obywatelu poruczniku, na czem, albo czem pojadę?

„Na koniu, i to siodłanym. Koń czeka za stodołą". Rozkaz!

Serce moje, jako dotychczas piechura, zaczęło żywo walić, a z piersi mało, że się nie wydarł głos na nutę:: „Pojedziesz, pojedziesz"... Idę. Za węgłem stodoły stoi rumak opętany taśmami, czy też pasami na wzór kozackiego sposobu siodłania, a na grzbiecie leży siodło; koń stęka, rozkraczywszy nogi, ile się dało. Podchodzę śmiało, licząc, że z nim albo na nim do Jędrzejowa przybędę. Trzeba dodać, że wtedy jeszcze w życiu w siodle na koniu nie siedziałem. Stąd dla zaoszczędzenia sobie despektu ze strony Beliniaków, bohatersko idę przed szkapą, która z wielkim namysłem, ruszywszy z miejsca, naprawdę niechętnie chciała podążać za mną.

Za wsią było, nie było, siadam. Kobyła, jakby nagle zhardziała, zadziera łeb do góry, ogonem macha i żywiej, bez stękania sunie naprzód. Dobre jest, jedziemy! Widocznie pasy źle pod brzuchem zapięte przez obciążenie siodła nie tak ją żarły, więc szła raz lepiej, raz gorzej, wprawdzie stępa, ale szła, bo takie było jej i moje życzenie. Ile godzin jechaliśmy, to szkoda mówić, bo jedno że tu dla mnie czasu nie wyznaczono, a drugie „względy wyższe" nie nakazywały kobyły niczem drażnić. Późną nocą zobaczyłem światełka lamp elektrycznych Jędrzejowa. Nagle słyszę głos z ciemności: „Halt, Wer da?" — Legjonista — Legionär. „Feldruf"? ja sza! — Kobyła tylko człapie w błocie koło mnie; „Nieder", ja ryp jak długi do błota. „Nieder" drugi i trzeci raz — bęc — strzelił, całe szczęście, że nie trafił w moją szkapę, która niestety nie znała regulaminu polowego i nijak nie chciała zrobić „Nieder". Wołam, to legjonista — Legionär — Reitender Legionär" — Legionär mit koń — raczej Pferd! Cisza! — tylko nieszczęsny mój wierzchowiec człapie koło mnie, leżącego w błocie i bez żenady włazi mi na płaszcz, trąca po nogach i grozi władowaniem się na mnie. Po przydługiej chwili dobrze ponad godzinę, słyszę kroki kilku ludzi. Podchodzi komendant warty „Bajonett auf" skierowuje karabin w moją głowę i woła „Feldruf", ja nic, tylko swoje: Legionär — tu Passierschein — i schluss.

Pod najeżonemi bagnetami prowadzą mnie i kobyłę do miasta. Z kordegardy do kompanji, z kompanji do Komendy placu, z Komendy placu do Komendy jakiejś wysokiej, bo w budynkach poklasztornych stojącej. Wchodzę w ogród, widzę jasno oświetlone okna, czuję nęcący zapach kuchni oficerskiej, prowadzą mnie długim korytarzem, tonącym w blasku oślepiającego światła i małom nie wrzasnął na mój widok w lustrze. Jedna kupa błota z gębą, niby murzyn nie myty. Mimo to pchają mnie przed oficera inspekcyjnego. Wysztafirowany rotmistrz od ułanów zaczyna mnie zlekka obmacywać, czym przypadkiem nie szpieg. Skąd? Którędy? jak? poco? Feldruf! Passierschein! I t. d. i t. d. — Wylazło szydło z worka, że mi hasła i odzewu nie dali. Czekam pod wartą i tylko z lubością wciągam zapach makaronu z szynką, który w sposób drażniący głodnego, przenoszą koło mnie do oficerskiej messy. Co mi tam jednak makaron, skoro djabli wiedzą, gdzie i jak noc przepędzę w tym mokrym stroju, a co gorsza nie wiem nic o moim koniu. Mordując tymi myślunkami swą łepetynę, nagle widzę, jak z otwartych drzwi wyłania się wysoka postać, wysokiego oficera austrjackiego, który z cygarem w ręku idzie w moim kierunku.

Niech jasny szlag zawali, źle ze mną. Pieron wi, co będzie, nic nie mam, tylko ten jeden jedyny passierschein, zabłocony, mokry i zamazany niemniej jak ja cały.

Chłop wspaniały. Bluza niebieska, złoto na kołnierzu, portki długie, cygarz z zapachem zawroty w głowie wywołującym. Rany Boskie! To napewno jakiś zastępca cesarza, albo z A. O. K. albo co? Trup! Nie wiem, jak do niego z tytułem wyskoczyć, było nie było, rypnę „General" to będzie chyba dobrze. Podchodzi! Was sind Sie im Ziwil? Im Ziwil — Akademik — Akademiker — wypaliłem, żeby dać poznać, że się nie boję rypnąć po niemiecku. — Was für eine Charge haben Sie? Charge? Legjonowy plutonowy — Legions-Zugsführer dodałem, aby było dobrze jedynie dlatego, by przecież nabrali przekonania, żem żaden szpieg. Feldruf!? — Feldruf! — Feldrufa mi nie dali, a to z pośpiechu tylko chyba, bo w bataljonie wszystko chore na jakąś cholerę a obywatel Dr. Sławoj-Składkowski wszystkich szczepi w trzy miejsca naraz, — jednym tchem po polsku zameldowałem — i klapa.

Dygnitarz się śmieje i widzę, że przyjacielsko na mnie spojrzał, pytając pocom właściwie i do kogom przyjechał. Wyciągam kopertę z woreczka z za koszuli, gdzie niegdyś miałem schowany żołd, nim nauczyłem się grać z kolegami w oko i oddaję kombinując, że to chyba będzie komendant korpusu.

C. d. n.

R. R.

Nad Nidą, 1915 r.

Rumunja, a Polska w XIX. wieku.

(Ciąg dalszy).

W Paryżu emigracja rumuńska otaczała Adama Mickiewicza wielkim szacunkiem. Wygnańcy rumuńscy bywali często w jego domu i czcili długo jego pamięć. — „Gdy ich spotykałem później — pisze Wł. Mickiewicz o emigrantach rumuńskich — witali mnie z otwartemi ramionami. Przez C. Rosettiego, S. Golesco, J. C. Bratiano byłem w stosunkach z Rumunją, i trwało to tak długo, póki śmierć nie zamknęła oczu tym pionierom nowej Europy... Gdy zamknę oczy, widzę ludzi, których zwyciężyła rewolucja 48 roku; przychodzili oni do ojca, żeby się wytłumaczyć ze swych czynów, często skarżyć się jeden na drugiego, a przedewszystkiem pytać, jakie są widoki na przyszłość. Byli to bracia Rosetti, Golesco, Bratiano, Teleki, którzy w kilka lat potem prawie wszyscy stanęli na czele spraw swego państwa i zawsze, gdy ich spotykałem ze czcią mówili o mym ojcu". W tym okresie prawie wszyscy emigranci rumuńscy łączyli sprawę polską ze sprawą rumuńską i pisywali listy do Mickiewicza, a J. C. Bratiano uważał wskrzeszenie Rumunji za punkt oparcia do wskrzeszenia Polski [25]).

Gradowicz, jeden z czynnych emisarjuszów polskich na Wschodzie, w opisie rewolucji wołoskiej 1848 roku, zwracał uwagę na wielkie znaczenie tego ruchu niepodległościowego dla Polski. — „Rewolucja wołoska, lubo nie od ludu wyszła, miała jednak cechę ludową, bo celem jej było głównie jego dobro. Po tak silnem wstrząśnieniu, należy spodziewać się, że wzniecona iskra tlić będzie się nadal pod popiołami; prześladowania moskiewskie nie przytłumią jej, ale owszem podobnie, jak w Polsce podniosą zapał patrjotyczny do wysokości prozelityzmu religijnego, i jeżeli kiedy przyjdzie na Wschodzie do stanowczej walki z olbrzymem północy, znajdzie on bez wątpienia w ogromnym zastępie swoich nieprzyjaciół te osiem miljonów rumuńskiego ludu, nad któremi od półtora wieku jak zły duch panuje" [26]).

Ostatnie niepowodzenia nie zdołały osłabić więzów współpracy polsko-rumuńskiej. W 1850 r. Mikołaj Balcescu w memorjale do ks. Czartoryskiego omawiał projekty współdziałania Polaków, Rumunów i Madziarów, celem uwolnienia się od wpływów Rosji i Austrji [27]). Urzędujący w Szumli, Chojecki, pisał w lutym 1850 r. do Czajkowskiego: — „Sojusz między Polakami, Węgrami, Włochami i Wołochami, skoncentrowanie tych czterech emigracyj w jedną, do wspólnego działania, mogłoby być bardzo sprawie naszej pożyteczne". W lipcu tego samego roku, Agent główny polskiej misji w Carogrodzie, podał projekt utworzenia wojskowego zakładu naukowego w Brussie: — „Dodać należy, że w Brussie znajdują się teraz młodzi Rumuni z Wołoszczyzny i Mołdawji, którzy mogliby korzystać z tej szkoły i którzy tego pragną. Możnaby z tego mieć pożytek, byłoby to przywiązaniem Rumunów do nas, jakkolwiek lichą jest ta rasa, jednak przy położeniu swego kraju mogą nam być bardzo potrzebni" [28]).

Po roku 1849 politycy polscy dążą do organizacji dwu kilkutysięcznych legjonów w celu wtargnięcia na Podole przez Księstwa Naddunajskie i na Żmudź przez Bałtyk. Legjon wschodni miał się organizować w Turcji i utrzymywać kontakt z południowemi krańcami Rzeczypospolitej przez Wołoszczyznę i Mołdawję. Przy końcu roku 1851 Zygmunt Miłkowski, oficer z powstania węgierskiego, został wysłany przez Centralizację na Ukrainę wraz z innymi emisarjuszami, celem czynienia przygotowań do powstania. Równocześnie Agentura w Konstantynopolu starała się panować nad sytuacją przy pomocy agentur w Tulczy i Belgradzie i przez stałe wysyłanie emisarjuszów na Mołdo-Wołoszczyznę. Wobec zapowiedzi wojny rosyjsko-tureckiej, Polacy skupiający się pod sztandarem demokratycznym, wysłali w maju 1852 r. memorjał do Porty w sprawie organizacji oddziału polskiego na ziemi tureckiej: — „Pierwszy oddział polski stanie się wkrótce zawiązkiem przyszłej armji narodowej, bo tysiące emigrantów rozprószonych po Europie, dążyć będzie skwapliwie". W Paryżu gen. Wysocki otrzymał pełnomocnictwa do działania na Wschodzie. Wobec tego, że Porta w stosunku do projektu polskiego zajmowała stanowisko wyczekujące, Polacy przedłożyli jej w jesieni 1853 r. nowy memorjał: — „Legjon polski działać będzie na teatrze jak najbliższym granic polskich, to jest na linji dunajskiej, a następnie prutskiej" [29]). Mierosławski chwalił się także, że na wiadomość o wybuchu wojny krymskiej „podał kompletny plan podwójnego Legjonu polskiego przez południe i północ księciu Napoleonowi i rządowi angielskiemu [30]). W chwili wybuchu wojny zaczęły świtać na Wschodzie dla Polski nowe blaski zbawienia, Porta zażądała od ks. Czartoryskiego wstąpienia do służby w wojsku otomańskiem czterech wyższych oficerów: gen. Chrzanowskiego, pułk. K. Różyckiego, Wł. Zamoyskiego i L. Bystrzonowskiego, ofiarując wszystkim stopnie generalskie. Kiedy wymienieni nie zgłaszali się do służby, Porta przeszła nad projektami polskiemi do porządku dziennego. Dnia 20 października 1853 r. Czajkowski otrzymał firman na Mirimirama Paszę, a 15 dni potem rozkaz organizowania Kozaków sułtańskich [31]).

Kiedy ambasady, francuska i angielska, nie przywiązywały wielkiej wagi do planów polskich, pozostało tylko działanie konspiracyjne, celem zorganizowania oddziałów polskich i przerzucenia ich do kraju. Terenem podatnym do organizowania stawała się Mołdo-Wołoszczyzna, gdzie demokracja polska miała swych przyjaciół i stronników. Od roku 1852 Miłkowski jeździł po Mołdawji i Wołoszczyźnie z ramienia Centralizacji i utrzymywał łączność z ludźmi pracującymi na Ukrainie. Kiedy w r. 1853 dwaj bracia Mił-

kowskiego schronili się na Mołdawję, władze mołdawskie przekupione przez Moskali wydały zbiegów; Józef, jako oficer rosyjski został zaraz rozstrzelany.

Po wybuchu wojny krymskiej zaroiło się od projektów i memorjałów, w których była mowa o organizacji korpusu debarkującego, o tworzeniu Legjonu polskiego, o formowaniu oddziałów z chrześcijan, zamieszkałych w Turcji i t. d. Każda z tych spraw zahaczała o Księstwa Naddunajskie. Jeden z projektów powiadał: — „Mołdo-Wołoszczyzna ma 4.200.000 ludności. W miarę, jak kraj będzie oczyszczany z najazdu moskiewskiego, ochotnicy, pociągnięci przez akcję patrjotyczną stronnictwa liberałów, które jest wiernem Turcji, będą się zgłaszać do służby wojskowej. Najlepszym środkiem zachęty będzie organizacja korpusu wołoskiego pod dowództwem oficerów rumuńskich" [32]). Edward Nowicki przedłożył wtedy rządowi francuskiemu plan ataku Górnej Besarabji, w którym celem zdobycia Krymu, proponuje rozpoczęcie działań wojennych nad dolnym Prutem i na Besarabji; zadania tego może dokonać oddział o charakterze politycznym, zorganizowany z Polaków. Ks. Czartoryski pisał notę za notą w sprawie organizacji legjonu polskiego. Prosił ministerstwo francuskie o popieranie kozaków Czajkowskiego jako oddziału polskiego. Wysłał w tym celu na Wschód Wł. Zamoyskiego, Bystrzonowskiego, Breańskiego i własnego syna Władysława.

Organizacja powstania w Księstwach Naddunajskich napotykała na duże trudności. Emigranci rumuńscy, rwący się do czynu w Paryżu, tracili zapał w Konstantynopolu i czynili starania u rządu tureckiego o zezwolenie na organizację wojska rumuńskiego w Turcji. Tymczasem Polacy parli Rumunów do wywołania na własną rękę powstania na Małej Wołoszczyźnie, która ewakuowana przez Moskali nie została zajęta przez żadne wojska. Na Małej Wołoszczyźnie przebywał wtedy D. Bratiano razem z Zygm. Miłkowskim. Lud oczekiwał z dnia na dzień hasła do powstania i przybycia gen. Maghery lub Golesków. Jednak nikt się nie zjawiał, a na przedstawienia współdziałania Polaków z Rumunami, czynione stale przez Miłkowskiego, Bratiano odpowiadał stale: „Je crains de faire une échauffourée". Porta wydała nareszcie firman na tworzenie wojska wołoskiego i uznała gen. Tella ministrem wojny. Do Szumli, gdzie rozpoczęto organizację oddziałów wołoskich, przybyli delegaci od Wysockiego i Mierosławskiego z naleganiami, ażeby przyjmowano Polaków do oddziałów rumuńskich. Rumuni przyjęli tylko dwu Polaków i zgodzili się na pobyt Miłkowskiego, który miał misję poufną: „aby pod firmą wołoską gromadzić Polaków i na Wołoszczyźnie formować zawiązek siły polskiej [33]).

W czasie wojny krymskiej stosunek najbardziej bezpośredni z Rumunami przypadł Czajkowskiemu, lecz ten nie reprezentował już wtedy interesów Polski, tylko swój własny bałagan turecko-kozacki. Kozacy sułtańscy odznaczyli się w utarczkach pod Giurgiewem i Frateszti i zajęli pierwsi Bukareszt. Czajkowski został zamianowany przez naczelnego wodza gubernatorem miasta i pozostawał na tem stanowisku przez 15 dni. Kozacy swojem porządnem zachowaniem się zdobyli sobie wdzięczność mieszkańców Bukaresztu. Bojarzy wołoscy i mieszkańcy Bukaresztu ofiarowali kozakom dużą ilość płaszczy, szarawarów, kołpaków i butów. Do zebrania tych darów przyczyniły się najwięcej rodziny Ghików i Kreczulesków. — Książę Konstantyn Kantakuzen i ks. Barbo Stirbey, otaczali także dużą opieką oddziały kozackie. W raportach przepełnionych służalstwem Sadyk opisywał Omer Paszy nastroje panujące w Bukareszcie i na Wołoszczyźnie, wskazując na istnienie trzech stronnictw, tureckiego, rosyjskiego i austrjackiego. Pozostawał w bardzo dobrych stosunkach z Aleksandrem Ghiką, Rossetim i Romanoffem. Pisał w raportach, że młodzież ożywiona duchem wojennym dąży do wojny z Moskalami, że przybycie Eliade'a wywołało duże wzburzenie umysłów i zwróciło uwagę agentów nieprzyjacielskich, że coraz to większa liczba bojarów staje się stronnikami Austrji i t. d. [34]).

Sprawa wciągnięcia Polski do wojny z Rosją decydowała się na radzie wojennej w Warnie przed wyprawą na Krym. Ks. Napoleon proponował rozpoczęcie powstania w Polsce, wkroczenie wojsk sprzymierzonych na Ruś przez Księstwa Naddunajskie i przyjęcie za podstawę operacyjną linji Dunaju, a później linji Prutu. Temu wszystkiemu stała na przeszkodzie Austrja, występująca na teatr wojny, jako aljantka. Niektórzy Polacy z Wł. Zamoyskim na czele proponowali Austrji aneksję Księstw Naddunajskich za odstąpienie Galicji Polsce. Takie postępowanie czynników polskich denerwowało Rumunów, którzy replikowali nań ostro wierszem i prozą. Radulescu Eliade w poemacie „Tantalida" wyśmiewał wspomniane pretensje Polaków.

Z Bukaresztu kozacy przeszli do Braiły i obsadzili linję Seretu od Vadeni do Serbaneszti. Podobnie jak w Bukareszcie, bojarzy mołdawscy i mieszkańcy Galacu ofiarowali kozakom pewną ilość sukna, butów, siodeł i koni. Duży udział w okazaniu współczucia kozakom wzięli hospodar mołdawski ks. Grzegorz Ghika, ks. K. Vogorides, Teodor Balsz, J. Ghica, Cogalniceano, Konstantyn Negri, B. Sturdza i D. Vlasto.

W Galacu Sadyk Pasza opracowywał memorjał w sprawie organizacji dorobanców, która miała objąć 3 tysiące pieszych i 1800 konnych. „Z miłości własnej" Wołosi wolą nazwę dorobanca, jak nazwę milicji. Dorobancy są tworem tradycyjnym, podczas gdy milicja jest z pochodzenia organizacją rosyjską. Na końcu memorjału przedstawił Omer Paszy listę oficerów

wołoskich, zdolnych do wzięcia udziału w organizacji dorobanców. Zachwalał tam pułk. Odobescu, Agę Bukaresztu Rosettiego, administratora Braiły Police, Dymitra Kretschelesko majora w kozakach sułtańskich i cały szerek innych oficerów rumuńskich, pełniących już służbę pod dowództwem Czajkowskiego [35]).

Na takich kombinacjach upływał czas Czajkowskiemu, który słuchając wieści o buncie na Ukrainie, nie pomyślał o przeprawie przez Prut, bo uczucie patrjotyczne w nim zamarło.

Po zawarciu pokoju w Paryżu, wielka liczba Polaków pozostała na Wschodzie. Janusz Woronicz, major 1 pułku kozaków, wszedł do służby francuskiej jako drogoman konsulatu w Tulczy, skąd stale zasięgał wiadomości o stosunkach panujących na Wołoszczyźnie i przesyłał raporty do głównej agencji w Konstantynopolu, na czele której stał teraz Wł. Jordan. Agencja rozumiała doskonale potrzebę usadowienia agenta polskiego w Bukareszcie. W styczniu 1857, Wł. Zamoyski pisał z Konstantynopola do gen. Bystrzynowskiego: — „Potrzeba ajenta w Bukareszcie coraz bardziej czuć się daje — mianować w tej chwili. Jabym był za tem, żeby Wł. Jordana tam wysłać. On-by tę misję przyjął i zupełnie by jej odpowiedział. Chodziłoby tylko o fundusze na utrzymanie jego. Rozmów się Pułkowniku o tem z księciem niezwłocznie. Jest to rzecz bardzo ważna, obsadzić to miejsce człowiekiem zdatnym i obrotnym...". W marcu 1857 r. pisał Woronicz z Tulczy do Bystrzynowskiego: — „Zamiarem moim było udać się do Bukaresztu, gdzie pragnąłbym może znaleźć jaką taką pozycję, ale aby doczekać się wyjścia Austrji, zatrzymałem się w Tulczy... Aby się utrzymać w Wołoszczyźnie, trzebaby mieć listy z Paryża do konsula francuskiego i fundusz na kilka miesięcy". W lipcu 1859 r. donosił, że w Tulczy i na Dobrudży przebywa przeszło 300 Polaków. W maju 1860 roku, pisał o zamiarze wyjazdu do Bukaresztu, ażeby „tam się starać o umieszczenie przy Kuzie" [36]).

Ze swej strony ks. Kuza miał niemało kłopotu z Polakami od samego początku swego panowania. W kilkanaście dni po wyborze na księcia Mołdawji, pisał z Jas dnia 23 stycznia 1859 r. do Konstantego Negruzzi: — „Twój list zjawił się na czas, potrzebowałem go bardzo, ponieważ na nowem stanowisku nie widzę zbyt wielu przyjaciół wokół siebie, mimo wielkiej liczby nadskakujących. Sprawa Polaków została oddana kompetentnej władzy, prawie wszyscy zostali aresztowani. Bądź spokojny w tym względzie, nie zaszkodzą już w niczem nikomu, skompromitowali tylko swego księcia" [37]).

ROZDZIAŁ III.

Przygotowania na Wschodzie do powstania styczniowego [38]).

Niespodziewany wybuch powstania zaskoczył całą Europę, która tę wiadomość przyjęła w postawie wyczekującej, ponieważ ruch powstańczy polski nie stawał na linji głównych kierunków polityki mocarstw. Przed rozpoczęciem akcji zbrojnej, przywódcy ruchu niepodległościowego nie poczynili ważniejszych przygotowań dyplomatycznych, a nawet nie pomyśleli o zorganizowaniu prasy na terenie zagranicznym, któraby imieniem rządu narodowego przemawiała do Europy. Czas wojny krymskiej i wojen włoskich przeszedł bezczynnie na wzajemnych intrygach. Polska powstawała w chwili, kiedy żaden z rządów europejskich nie miał nic do wygrania w jej koflikcie z Rosją. Mimo bardzo poważnej gry dyplomatycznej zainicjowanej przez Francję i mimo kilku projektów odbudowy Polski wyszłych także z Francji, kroki dyplomatyczne rządu powstańczego na terenie zagranicy zostały osamotnione i skazane zgóry na samobójstwo. Rozwiązanie szkoły oficerskiej we Włoszech i aresztowanie przez policję francuską komisji wysłanej na zakupy broni były zapowiedzią, że nie można się niczego spodziewać nawet od rządów sprzyjających sprawie polskiej. Stronnictwo Czartoryskich, użyczając swego aparatu dyplomatycznego rządowi narodowemu, paraliżowało tylko jego śmielsze poczynania wiarą w skuteczność zabiegów dyplomatycznych i negacją akcji zbrojnej. Rozpaczne wysiłki ruchu powstańczego w Polsce znalazły wyrazy głębokiego i entuzjastycznego współczucia jedynie w opinji publicznej wszystkich krajów. Ze wszystkich stron wzywano ludy Europy do spieszenia z pomocą Polsce. „Rumuni z nad Dunaju, Węgrzy, Niemcy, Skandynawi, — wołał Garibaldi — wy jesteście przednią strażą ludów w walce na śmierć, która obecnie toczy się na sławnej ziemi Sobieskiego i Kościuszki". W Paryżu, Turynie, Neapolu i Londynie odbywały się burzliwe mityngi, w czasie których wzywano rządy Europy do interwencji w sprawie polskiej, ponieważ powstanie jest wyrazem wszystkich uciemiężonych narodów walczących z tyranami. V. Hugo apelował do żołnierzy rosyjskich, ażeby nie strzelali do powstańców. Quinet wzywał duchowieństwo polskie, ażeby szło z krzyżem w ręku na czele oddziałów powstańczych do walki z wrogiem. Idąc za wskazówkami Wł. Czartoryskiego, rząd narodowy popełnił błąd, że nie odwołał się do rewolucyjnych uczuć innych narodów, lecz wdawał się w pertraktacje z rządami, które przedstawicielstwem narodów nie były.

W kraju plan wojny powstańczej został zaimprowizowany według zasad wojny partyzanckiej. Ziemie podzielone na 5 okręgów miały był wsparte przez ekspedycje zorganizowane na terenie zagranicy. Zakładanie placówek dyplomatycznych, współpraca z emigracją polską rozsianą na linji Szwecja, Anglja, Francja, Szwajcarja, Włochy, Turcja i Księstwa Naddunajskie, i projekt tworzenia polskiej floty świadczą, że naczelnicy powstania nie byli pozbawieni myśli o szerokich planach na terenie międzynarodowym. Od wybuchu powstania działalność rządu narodowego rozwijała się w myśl planu bardzo ważnego z przyczyn strategicznych i politycznych, realizując projekt organizacji dwu kilkutysięcznych legjonów zagranicą celem wstargnięcia na Podole przez Księstwa Naddunajskie i na wybrzeże żmudzkie przez Bałtyk.

W marcu 1863 r. doszła do skutku w Londynie organizacja legjonu bałtyckiego, który załadowany na okręt angielski miał wylądować na Żmudzi celem wzmocnienia oddziałów pułk. Sierakowskiego operujących na Litwie. Kiedy po przebyciu licznych przeszkód aranżowanych przez policję moskiewską statek wiozący powstańców, których złym duchem opiekuńczym był radykał rosyjski M. Bakunin, przybliżał się do wybrzeża pruskiego, wtedy 24 powstańców utonęło w czasie burzy, a reszta z pułk. Łapińskim na czele została po wylądowaniu internowana i odstawiona z powrotem do Londynu. Po tem nieudanem przedsięwzięciu oczy rządu narodowego zwróciły się w kierunku Turcji i Księstw Naddunajskich [39]).

* * *

W Księstwach Naddunajskich, gdzie życie państwowe kształtowało się pod wpływem elementów rewolucyjnych, wyrosłych na emigracji, powstanie polskie mogło liczyć na duże poparcie opinji publicznej. Mołdawja zamieszkała przez duży procent Polaków miała obok Galicji stać się bazą operacyjną na prawem skrzydle polskiego frontu. Z tych przyczyn terytorjum Turcji i Księstw Naddunajskich było stale patrolowane przez agentów stronnictwa Czartoryskich i przez emisarjuszów obozu demokratycznego.

W końcu września 1859 r. z polecenia komitetu paryskiego wyjechał do Rumunji Zygmunt Miłkowski, celem stworzenia tam punktu oparcia dla przyszłego powstania. Zjechawszy na Mołdawję, Miłkowski przebywał przez pewien czas w Foltyczanach i Botuszanach, a w końcu osiadł na stałe w majątku żony w Michailenach [40]). Wtedy z niewiadomego źródła rozbiegła się wieść po całej Polsce, że Miłkowski organizuje w Jasach legjony. W następstwie tego duża liczba młodzieży polskiej przeszła granicę i zwaliła się na kark Miłkowskiemu. W jesieni 1861 r. przybyła na Mołdawję młodzież ze szkoły w Genui w liczbie 25 i żądała, ażeby Miłkowski prowadził ją natychmiast na teatr wojny [41]). Łagodząc burzliwe nastroje, Miłkowski formował z tych zapaleńców kadry oddziałów przeznaczonych do obsadzenia północnej Mołdawji. W roku 1862 przebywali w Michailenach Stefan Bobrowski, Henryka Pustowójtówna i Leon Frankowski. Dom państwa Miłkowskich był wtedy ogniskiem polskości skupiającem wszystkie gorące żywioły polskie, dążące do walki z Rosją [42]). Frankowski wprowadził Miłkowskiego w bezpośredni kontakt z warszawskim Komitetem Centralnym, który mu polecił przygotowanie powstania na Rusi i na Wschodzie. W grudniu 1862 roku Komitet Centralny zatwierdził nominację Miłkowskiego na naczelnika sił zbrojnych na Rusi i na Wschodzie i polecił mu wejść w porozumienie z rządami, tureckim i rumuńskim. Kiedy Miłkowski powracał z Warszawy, w Jasach policja mołdawska urządzała już obławy na Polaków; wobec tego wydał rozkazy, ażeby wszyscy Polacy koncentrowali się na Dobrudży. W drodze do Galacu, gdzie miał poczynić przygotowania do wyładowania broni, po zakup której wyjechała komisja do Paryża, wstąpił do jednego ze swych przyjaciół w Husz, lecz tam zastał już żandarma, który mu wręczył rozkaz opuszczenia Mołdawji w ciągu 24 godzin. W Botuszanach zaskoczyła go wieść o wybuchu powstania. Po przybyciu do Michailen, policja rozkazała mu natychmiastowe opuszczenie terytorjum mołdawskiego. Wtedy Miłkowski wysłał kurjerów do Lwowa i Konstantynopola. Do Tulczy i Konstantynopola pojechał Józef Czajkowski, wioząc do Sokulskiego rozkazy, dotyczące transportów broni i organizacji oddziału, na dowódcę którego Miłkowski wskazał gen. Breańskiego, Jordana lub Fiałkowskiego, polecenie porozumienia się z Sadykiem Paszą i odezwę do emigracji polskiej. Dnia 15 lutego 1863 r. Miłkowski przekradł się przez granicę bukowińską i udał się do Lwowa.

Przed wybuchem powstania, na Zachodzie nie wiele wiedziano o sile i zamiarach emigracji polskiej, rozprószonej na terenie południowo-wschodniej Europy. W lutym 1861 r. Wł. Mickiewicz w drodze do Rosji zajechał do Stambułu, ażeby się zorjentować, „czy Polacy mają jeszcze pole do działania w Konstantynopolu". Sadyk Pasza zrobił odrazu na Mickiewiczu ujemne wrażenie. Wyrażając się ironicznie o pracy i zamiarach Czajkowskiego, Mickiewicz mówił z uznaniem o pracy i poświęceniu Ludwiki Śniadeckiej dla dobra oddziałów wojskowych, organizowanych przez jej męża, które miały się stać zawiązkiem „przyszłych legjonów polskich" [43]).

Po wybuchu powstania Wł. Mickiewicz pisał z Paryża 19 lutego 1863 r. do Cairoli'ego i Mordini'ego. — „Generał Wysocki wyśle ludzi zaufanych na Węgry i do Mołdawji. Byłoby bardzo pożyteczne, gdyby zajęto się wyszukaniem we Włoszech kogoś, kto w stosownej chwili mógłby udać się do Bukaresztu z listem od generała Garibaldiego do naszych przyjaciół Roseltiego i Bratiano. My także dalibyśmy mu list". Po niedługim czasie, 27 lutego 1863 r. Cairoli i Mordini odpowiedzieli mu z Turynu, a donosząc o mitingach we Florencji, w Medjolanie i w Turynie, pisali. — „Mamy już na widoku osobę, która w odpowiedniej chwili uda się do Bukaresztu z listem Garibaldiego".

Do Tulczy pierwsza wiadomość o wybuchu powstania dostała się telegraficznie przez Rumunję 28 stycznia. W dniu tym Janusz Woronicz pisał do gen. Bystrzonowskiego — „Przed wybuchem w Polsce, koło połowy stycznia, rząd rumuński, nie mogąc oprzeć się naleganiom konsulów Rosji, wydalił z kraju młodzież tam zebraną, którą już widział Breański. Z tych czternastu przybyło do Tulczy i dotąd tu bawi, oczekując dalszych rozkazów od Mierosławskiego i jego agentów. Teraz zapowiedziano przybycie osoby, co te rozkazy wiezie. Oni bowiem na pierwszą wiadomość o ruchu, to jest 28 stycznia posłali do Michailen w Mołdwji do P. Miłkowskiego, którego swym tymczasowym komendantem uznali, po rozkazy, i ten... telegraficznie odpowiedział, że rozkazy im posyła przez pewną osobę, która ma nimi kierować. Osoba ta dobrze mi znana, licha pod każdym względem, jeszcze dotąd nie przybyła" [44]).

Z listów Woronicza wynika, że agenci stronnictwa Czartoryskich uważali Miłkowskiego i jego współpracowników tylko za emisarjuszy Mierosławskiego. W liście z 15 marca wspomniany agent Czartoryskich pisał: — „Owóż ten pan Czajka za przybyciem kazał czekać tu na miejscu, przeznaczając dolny Dunaj za punkt zbioru dla wszystkich Polaków w Turcji, z którego to punktu zbrojnego oddziałem mają się udać na Podole. Rozkazy te miały być dane przez jakąś władzę narodową, której bliżej nie oznaczał. Takie zostawiwszy rozporządzenie, odjechał do Stambułu, skąd miały być przysłane fundusze na utrzymanie przybywających do zbioru. Dotąd liczba w tym celu przybyłych znacznie się pomnaża, dotąd już jest 40, ale żadne fundusze nie przybyły. Co nasze położenie czyni bardzo trudnem".

* * *

Prace organizacyjne na rzecz powstania na terytorjum Mołdawji i Turcji miały zrazu grunt wyjątkowo podatny. W Konstantynopolu i w Turcji emigracja polska była bardzo liczna. Resztki Kozaków Sułtańskich i duża liczba Polaków występujących ze służby tureckiej czekały tylko na hasło i na apel do ponownego zaciągnięcia się w szeregi oddziałów polskich. Niedawne wspomnienia organizacji oddziałów polskich w czasie Wojny Krymskiej czyniły z Konstantynopola żywotny ośrodek dążeń niepodległościowych polskich [45]).

W tej chwili Konstantynopol stał się znowu ośrodkiem przygotowań, mających na celu popieranie akcji powstańczej na Wschodzie.

Z rozpoczęciem działań wojennych sprawa polska stała się szybko grą dyplomatyczną, w którą bezpośrednio zostały zaangażowane rządy, turecki i rumuński, a pośrednio rządy innych państw europejskich, których ambasady konstantynopolitańskie stały się ruchliwemi i niespokojnemi. Wybuch powstania w Polsce wywarł widoczny wpływ na kwestję wschodnią Europy, gdyż spodziewano się wtedy interwencji Rosji w interesach rumuńskich lub serbskich. Po wybuchu nastąpiło ogólne odprężenie, a korpus rosyjski koncentrujący się w tym celu na Besarabji cofnął się na Podole. Z tych i podobnych przyczyn Wschód okazywał czasami dużo przychylności dla sprawy polskiej, ponieważ wyrabiało się przekonanie, że łączy się ona silnym węzłem z kwestją wschodnią i że każda większa wojna rozpoczęta nad Dunajem będzie się kombinować z interesami Polski. Jednak w chwili wybuchu powstania polityka Polski, związana na zawsze naturalnym węzłem z polityką Francji, nie spotkała na Wschodzie silniejszego wsparcia ze strony swej sojuszniczki, gdyż polityka francuska była wówczas na tym terenie w stanie osłabienia i pewnego wyjałowienia. Nawet ambasada francuska w Konstantynopolu, zawsze przychylna dla Polaków, patrzyła zrazu z pewnem niedowierzaniem na zamiary rządu narodowego na Wschodzie.

W liście z 27 lutego z Konstantynopola była mowa o nastrojach panujących wśród emigracji polskiej na wschodzie. „Dziś wszyscy duszą w kraju rodzinnym, a wielu pociągnęło już stęsknionych nad Wisłę szukać choć śmierci wspólnej, by na własnej ziemi kości położyć; ci zaś co zostać zniewoleni, składają wdowi grosz swój i łożą starania, aby dopomóc komu potrzeba na drogę... Z pomiędzy wszystkich mocarstw Turcja jest nam dziś może najżyczliwszą, atoli Serbowie, Rumuni i Bułgarzy, za naszą przychylność dla ich słusznej sprawy odwdzięczają się co najmniej obojętnością" [46]).

W ciągu marca nastroje się zmieniły na lepsze. Połączenie się stronnictwa Czartoryskich ze stronnictwem demokratycznem wywarło wszędzie dobre wrażenie. Ambasada francuska zaczęła okazywać coraz więcej życzliwości dla Polaków. Także w Księstwach Naddunajskich dał się zauważyć duży wzrost sympatyj na korzyść Polski. Wtedy naodwrót Turcja pod presją dyplomacji rosyjskiej zaczęła przeszkadzać oficjalnie zamiarom polskim. W Konstantynopolu 31 marca „na żądanie ambasady moskiewskiej, policja wzbroniła przedstawienia teatralnego na korzyść wychodźców, chcących dostać się do Polski. Powszechnie panuje przekonanie, że los Księstw Naddunajskich waży się z ustępstwami terytorjalnemi na rzecz Polski i że utworzenie państwa polskiego wiąże się solidarnie z kwestją wschodnią". W końcu marca zorganizował się w Konstantynopolu komitet francuski, celem obrony Polaków wobec władz tureckich i w celu ułatwiania im podróży do Polski.

O oficjalnem organizowaniu Legjonów w Konstantynopolu nie mogło być w tych warunkach mowy. Prace organizacyjne i werbunkowe musiały przyjąć charakter konspiracyjny. Jednak na każdym kroku dawało się wyczuwać niedołęstwo i opieszałość. Zrazu część wojskowych przebywających w Turcji, nie wiedząc o nominacji Miłkowskiego, utworzyła organizację i wybrała na dowódcę A. Łaskiego, żołnierza z 1831 r. Nie wiedząc o tem, major Sokulski prowadził roboty przygotowawcze z polecenia Miłkowskiego, badając zamiary polityki emigracyjnej ks. Wł. Czartoryskiego i Sadyka Paszy, ponieważ większość emigracji polskiej w Konstantynopolu pozostawała pod wpływem stronnictwa Czartoryskich. Reprezentant Czartoryskich Wł. Jordan nosił się także z zamiarem objęcia d-twa organizacji wojskowej, lecz spotkał się w łonie tej z ogólnym protestem.

Oczy wielu Polaków były zwrócone zrazu na Sadyka Paszę, który z początku zajął stanowisko polskie i agenta przysłanego przez Rząd Narodowy do Konstantynopola przyjął nawet przychylnie i nosił się podobno z zamiarem wzięcia w swe ręce kierownictwa spraw polskich na Wschodzie. Jednak niezdecydowane zamiary Sadyka Paszy spotkały się u Turków i u Polaków z dużem niedowierzaniem, ponieważ w gruncie rzeczy Czajkowski zapatrywał się na rok 1863 jak na awanturę wywołaną przez gorące głowy.

Sadyk z pułkami Kozaków stał wtedy na granicy greckiej w Larysie. Sokulski przesłał pod jego adre-

sem odezwę do Kozaków, ażeby gotowali się do opuszczenia wojska tureckiego. Odezwa została przeczytana przed frontem; 7 oficerów podało się zaraz do dymisji; lecz Sadyk nie dawał stanowczej odpowiedzi. Rząd turecki, sprzyjający wówczas powstaniu, przeniósł Sadyka z Larysy do Konstantynopola. Korespondent Czasu pisał pod datą 17 kwietnia z Konstantynopola — „O wkroczeniu z kozakami ani myśli, a jednak byłaby to jedyna użyteczna rzecz, którą mógłby zrobić. Lecz Sadyk nie jest już owym pełnym zapału Czajkowskim. Niewiele więc można się spodziewać tak od jego dyplomatycznego jak i wojskowego działania. Wszyscy oficerowie w kozakach, widząc to, podali się do dymisji, połowa już ją otrzymała i przybywa do Stambułu. Kozaków zaś przemieniają w tak zwaną milicję"...

Oficerowie, występujący z armji tureckiej mieli na widoku wstępowanie do mających się organizować niezwłocznie oddziałów polskich. W kwietniu napływ ochotników do Konstantynopola był tak wielki, że można było z łatwością uformować oddział liczący 2 tysiące ludzi i maszerować z nim na teatr wojny. Jednak brak dobrego kierownictwa, broni i funduszów, utrudniał organizację i zniechęcał ludzi, którzy spotykając się wszędzie z nieudolnem i opieszałem działaniem, zaczęli rozjeżdżać się na własną rękę.

* * *

Równocześnie w Księstwach Naddunajskich działy się rzeczy przykre, ale prawdziwe. Od pierwszych chwil powstania, rząd rosyjski zwrócił baczną uwagę na Księstwa Naddunajskie i na linję Prutu, proponowaną w r. 1854, jako podstawę działań operacyjnych na rzecz Polski. Jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych rząd carski zażądał od rządu rumuńskiego wydalenia emigrantów polskich z Rumunji. „Rząd tameczny — pisał korespondent Czasu 13 lutego z Carogrodu — nie chciał przystać na ten krok przeciwkonstytucyjny; po wielu jednak prześladowaniach, jakich się względem ziomków naszych dopuścił, w tej chwili wywozi ich gromadami nad granicę turecką i tam gdzieś składa w oczeretach nad Dunajem, koszta tej podróży ponosi sam książę Kuza".

Prześladowanie Polaków przez rząd rumuński na rozkaz rządu moskiewskiego spotkało się z ostrą krytyką ze strony opinji publicznej w Rumunji. Organ stronnictwa liberalnego „Românul" podjął się walki z własnym rządem w imię prześladowanych. Po raz pierwszy ta sprawa została poruszona na szpaltach wspomnianego dziennika z początkiem marca 1863 r. W numerze z 26 lutego (10 marca) korespondent z Jas donosił pod datą 12 lutego: — „Od kilku dni ma miejsce w tej części Rumunji zjawisko, które nie powinno ujść uwagi opinji publicznej, a szczególnie Izby poselskiej. Nasze władze administracyjne i policyjne skupiły całą swoją gorliwość, na jaką tylko ich stać, do prześladowania Polaków, którzy w ciągu wielu ostatnich lat, znaleźli schronienie w naszym kraju. Dzieje się jeszcze gorzej, bo także ci, którzy są osiedli jako właściciele domów i majątków, odczuwają na każdym kroku żelazną rękę naszych władz. Jak nam donoszą, w powiecie Dorohoi organa policji wkroczyły nocą do domu pewnego dzierżawcy majątku, p. Mavroghene, w celu aresztowania mieszkającego tam spokojnego Polaka. Bardzo wielu Polaków zostało wyprawionych do Galacu; na koszta podróży dano im po jednym lub po dwa dukaty. Przechodziło wczoraj przez Jasy kilku studentów z zamkniętej szkoły polskiej w Turynie, lecz ci oddalili się zaraz stąd, jak i wielu zajadłych rewolucjonistów i socjalistów. Komuż chce się przypodobać nasz rząd takiem niesłychanem prześladowaniem biednych uchodźców politycznych, między którymi jest dużo prostych rzemieślników i handlowców? Nie rozumiemy dlaczego Rumunja nie może dać schronienia uchodźcom, którzy słuchają praw krajowych".

Sprawa wysiedlania Polaków z Mołdawji odbiła się także żywo w prasie polskiej. Organ rządu austrjackiego Gazeta Lwowska zamieściła 3 marca korespondencję z Bukaresztu: — „Nadzieja księcia Kuzy polega na Rosji, i rząd teraźniejszy usiłuje zaskarbić sobie jej łaskę. Polacy w Mołdawji otrzymali od władz policyjnych polecenie oddalić się z kraju! Większa część udała się ku Gałaczowi, a każdy otrzymał na drogę dwa dukaty. Krok ten pomnoży liczbę nieprzyjaciół rządu".

W Bukareszcie w izbie poselskiej zgłosił nagłą interpelację w kwestji prześladowania Polaków deputowany Jon Bratianu [47]). Obecni na posiedzeniu prezes rady ministrów i minister spraw wewnętrznych oświadczyli gotowość udzielenia wyczerpujących wyjaśnień w tej sprawie. Wobec tego Bratianu zabrał głos i oświadczył, że według jego zdania nie zachodzi w tej chwili potrzeba całkowitego wyświetlenia sprawy, ponieważ jej sprężyny są zrozumiałe przez wszystkich, lecz idzie tylko o określenie zasadniczej polityki rządu w stosunku do polskich uchodźców. Wtedy minister spraw wewnętrznych dał następujące wyjaśnienie: — „Polacy, którzy są osiedli wzdłuż granicy rosyjskiej i austrjackiej byli ostatnio w kontakcie ze swymi współrodakami i współpracowali z nimi. Taka kolaboracja nie była na rękę sąsiednim mocarstwom. Skargi na Polaków przychodziły z Austrji i Rosji. Dzisiejszy rząd oświadczył Polakom, że nie wolno im nadużywać prawa gościnności, i że pozwala im się pozostać w kraju, lecz tylko w miastach centralnych; tam szuka się teraz dla nich zajęcia". Potem minister dodał, że wielu z tych Polaków zgodziło się dobrowolnie na wyjazd, który im został ułatwiony przez władze. Nakoniec zaprotestował przeciw twierdzeniu deputowanego Bratianu, jakoby rząd rumuński czynił wysiedlenia z polecenia rządu moskiewskiego.

Stanisław Łukasik.

(C. d. n.).

Strzelcy w rezerwie.

(Pisane podczas bitwy pod Laskami, 25. X. 1914).

Piekielnie w górze szrapnele wyją,
Granaty ziemię szarpią, drą, ryją,
A nasi strzelcy w okopach siedzą —
Konserwy jedzą.

Choć wokół kule zagładę sieją,
Te bestje Śmierci w oczy się śmieją,
A chcąc jej szare oddalić mary —
Gryzą suchary.

O chłodzie, głodzie, senni, znużeni,
Pięć dni w okopach siedzą skuleni.
Lecz choć im oczy do snu się mrużą —
Cygary kurzą.

A kule lecą gęsto jak z bani,
Więc biedni strzelcy, zrezygnowani,
Wiedząc, że jutro już legną w grobie —
Śpiewają sobie.

Wtem pada granat. W proch wszystko ściera,
I wał okopu w strzępy rozdziera.
Więc wszyscy Bogu dusze oddają —
I w karty grają.

Adam Grot Kowalski.

Nowe książki.

Biskup Dr. Władysław Bandurski, Krwi Ofiarnej Cześć. Warszawa 1928. Wileński komitet obchodu 40-lecia pracy kapłańskiej i obywatelskiej Jego Eksc. Księdza Biskupa Doktora Władysława Bandurskiego, wydał pod tym tytułem kazania, przemówienia i odezwy naszego Wielkiego Duszpasterza i Patrona. Ogół legjonistów wita z radością wspomniane dzieło, bo widzi w niem jak w duchowem zwierciadle wizję swego pochodu do Polski wolnej w imię tradycji ojców i najświętszych haseł ogólnoludzkich. W liście umieszczonym na czele książki, Marszałek Polski Józef Piłsudski przesyła życzenia Jubilatowi i pisze: — „Żołnierz Polski zawsze pamiętać będzie, kto złotoustemi słowy rozpalał jeszcze w dniach niewoli serca ludzkie, każąc o świętej miłości Ojczyzny i kto z żołnierzem tym w dniach wielkiej wojny, szedł do rowów strzeleckich, krzepiąc go słowami pociechy. Oby Bóg przez długie jeszcze lata darzyć chciał Waszą Ekscelencję pełnią zdrowia i sił tak potrzebnych Polsce". — W dalszym ciągu przepiękna jest dedykacja podpisana przez wspomniany komitet: — „Kapłanowi - Patrjocie, Natchnionemu Pisarzowi, Złotoustemu Kaznodziei, Niestrudzonemu Pracownikowi na niwie ojczystej, który biblijnemu Samarytaninowi równy, niezliczonym ulżył w mękach ciała i duszy, a tym, co nikogo nie mieli, siebie dawał. Tyrteuszowi Narodu Polskiego, którego błogosławiąca ręka wiodła przez pola chwały nieustraszone zastępy na pomoc Ojczyźnie, kruszącej łańcuchy niewoli, Pasterzowi o duszy kryształowej i sercu gołębiem..."

Tadeusz Ulanowski, Doktór Filut powieść Warszawa 1928. Powieść Ulanowskiego jest obrazem życia, jakie kipi w polskiej stolicy, jest satyrą Polski współczesnej w tonie Le Sage'a. Bohater powieści Dr. Filut naszpikowany duchem rewolucyjnym śni o władzy, do sprawowania której nie ma ani zdolności ani przygotowania, przesuwa się przez różne środowiska życia, siejąc wszędzie rozstroj i negację. Powieść jest napisana stylem pełnym realizmu, który robi czasami wrażenie niedotrawionych ułamków z literatury, historji, sztuki i nauk ścisłych. Pisarza o dużym talencie cechuje zmysł obserwacyjny, zacięcie satyryczne, przenikliwość i rozmach. Oto kilka myśli z tej powieści dotyczących Piłsudskiego.

„Onego dnia, 6 sierpnia, Wódz wydał następujący rozkaz:

— Tworzyć czworobok: osły i uczeni w środek—"

„Jakże nikłemi środkami powstały legjony. Zaczęło się od nienawiści, a skończyło się na Polsce odrodzonej".

„To było dawno. Byłem młody i czułem tam na Dalekim Wschodzie serce Polski, bijące, jak gong. Chciałem być orłem, — cóż — kiedy przylazła świnia z Polski i poczęła udawać padlinę".

„Zamieszkał tu (w Belwederze) rewolucyjny drukarz polski nieznany, łatający górą ponad narodami z jękiem nocnych dzikich stad ptasich. Z „Dziadów" Mickiewiczowskich wywodzący się Dziadek. Zecer, sięgający wspomnieniami i ambicją ku czasom Kazimierza Wielkiego, któremu jego praszczur na chorągwiach zwycięskie znaki drukował. Wąsaty przybysz pomiędzy demokracją. Bojowiec, błagający, gdy trzeba, to i żydów, ażeby mu pozwolili na kredyt postrzelać do Moskali. Objaśniający słuchaczom, że już dwadzieścia lat temu lepiej było po obu stronach szosy z rowów strzelać do kozaków, niż dyskutować, co lepsze, czy zniesienie tytułu własności w Rosji, czy caratu w Polsce".

— „Lekcja poglądowa nie miała powodzenia. Władzy nie można nikogo nauczyć". Władzę narzucić trzeba.

— „Rewolucja trwa i jednoczy rozbite departamenty młodego państwa trójdzielnicowego, a robotnicy polscy wstrzymali niedawno lokomotywę wiozącą zdradę i rozłam.

„I rewolucja państwowo-twórcza została przez lud uratowana.

„W swej pustej kieszeni miał robotnik polski pełno serca dla dni majowych.

...Z groty Łokietkowej wyszedł na ulicę w dni majowe bojowiec socjalistyczny i czuwał, powstrzymując pociągi poznańskie, chcące przywieźć odsiecz dla polskiej Targowicy".

Kronika.

Eksportacja Zwłok ś. p. Dra Tadeusza Zwisłockiego odbyła się dnia 15 lutego o godz. 3 popołudniu z kościoła O. O. Kapucynów na dworzec kolejowy w Krakowie. W tej bolesnej uroczystości Związek Legjonistów wziął liczny udział ze sztandarem. Do wagonu trumnę wnieśli członkowie zarządu Związku Leg. W dniu tym Zarząd imieniem Związku Leg. w Krakowie, przesłał depeszę z wyrazami gorącego współczucia P. Prezydentowi Rzeczypospolitej i złożył na zamku listy kondolencyjne dla Pani Prezydentowej Mościckiej i dla Pani Zwisłockiej.

Redakcja Legjonu zwraca się do przyjaciół Zmarłego z prośbą o nadesłanie artykułów o Jego życiu i działalności.

Okręg. Zjazd delegatów Związku Legjonistów w Krakowie. W salach Związku Legjonistów na Wawelu, odbył się dnia 16 lutego zjazd delegatów Związku Legjonistów okręgu krakowskiego. W obradach wzięli udział: p. wojewoda Dr. Kwaśniewski, p. wicewojewoda Dr. Duch, p. prez. m. Rolle, p. naczelnik Walicki i przedstawiciele Federacji. Po zagajeniu przez prez. Bolesława Pochmarskiego, przemówienia powitalne wygłosili prezes Dr. Prostak i rtm. Naimski, Przez aklamację złożono hołd p. Prezydentowi Rzeczypospolitej Ignacemu Mościckiemu i Marszałkowi J. Piłsudskiemu. Sprawozdanie z czynności zarządu za rok ubiegły złożyli, prezes B. Pochmarski, sekretarz Strojek i Dr. Radzyński. Zjazd oświadczył się za zmianą Konstytucji i uznał czasopismo „Legjon" za organ Związku Legjonistów. Po uchwaleniu absolutorjum wybrano nowy Zarząd w następującym składzie: Prezes poseł Bolesław Pochmarski, wiceprezesi: Dr. Mieczysław Kaplicki i Dr. Rudolf Radzyński, sekretarz L. Strojek, skarbnik L. Ruszkowski. Ponadto do zarządu weszli Dr. Jelonek, Dr. Wroński, Dr. Orzelski, Dr. Zakrocki, Widliński, pos. Dobrzański, pos. Hyla.

Szczegółowe sprawozdanie ze Zjazdu będzie umieszczone w następnym numerze.

Komunikaty.

Imieniny Marszałka Piłsudskiego. Tegoroczne Imieniny Komendanta będą obchodzone w Krakowie nadzwyczaj uroczyście. Program uroczystości przygotowuje Komitet Obywatelski. Na wniosek prezesa Związku Leg. Komitet postanowił dokonać odsłonięcia tablicy pamiątkowej nad bramą kamienicy przy ulicy Szlak 31, gdzie w latach 1910—1914 mieszkał Solenizant. Krakowski Oddział Związku Leg. Pol. uczci w tym roku Imieniny Komendanta inicjatywą odsłonięcia tablicy pamiątkowej i wydaniem numeru Legjonu poświęconego Marszałkowi Polski. Pozatem Związek brać będzie udział w uroczystościach wraz z całem obywatelstwem. W poniedziałek dnia 18 marca zbierzemy się o godz. 6 wieczorem w lokalu na Wawelu celem urządzenia uroczystego capstrzyku z transparentem i pochodniami. We wtorek dnia 19 marca zbiórka odbędzie się w lokalu o godz. 8.30, skąd wyruszymy ze sztandarem na nabożeństwo do katedry. Po nabożeństwie pomaszerujemy w szyku zwartym na ulicę Szlak, gdzie nastąpi uroczystość odsłonięcia tablicy. Wieczorem w teatrze J. Słowackiego odbędzie się przedstawienie „Krakowiaków i Górali", poprzedzone okolicznościowem przemówieniem. Po teatrze rozpocznie się raut w sali strzeleckiej przy ulicy Lubicz 16. Zarząd Związku zaprasza wszystkich legjonistów do licznego wzięcia udziału we wspomnianych uroczystościach. Z powodu małej frekwencji na ostatniej zabawie i ze względu na dzień roboczy Związek Legjonistów specjalnej wieczornicy na Wawelu urządzać nie będzie. Jednak w razie zapewnionej frekwencji Zarząd może zmienić to postanowienie.

Archiwum legjonowe. Organizacją archiwum legjonowego zajmuje się Prof. T. Stupnicki. Archiwarjusz nasz zwraca się do członków z takiem wezwaniem:

Istotnem źródłem naszej siły legjonowej i fundamentem, na którym budowaliśmy, była p r a w d a. Krwawym i długotrwałym traktem prawdy kroczyliśmy ku bramie niepodległości i nadal, jako trzon armji polskiej, przebyliśmy prawdą pierwsze lata państwowości własnej. Bo przecież On, nasz Komendant, jest uosobieniem p r a w d y.

Zapytacie, gdzież ta prawda zagrożona, jaka forma niebezpieczeństwa i jak jej bronić. Otóż nic nowego; znacie dobrze chytre podkopy i tchórzliwe a bezczelne podchody przeciw t. zw. p r a w d z i e h i s t o r y c z n e j tych lat kilkunastu. Broń macie w ręku, więc trzeba się raźno okopać i uplanować defenzywę. Tak! Archiwum legjonowe jest niezbędne do prostowania bardzo licznych błędów przypadkowych, ale często... nie mimowolnych, które prawdę naszą, prawdę obrońców niepodległości (bez względu na mundur i rodzaj broni) zaciemniają i przenicowują z różnych powodów, a najczęściej dla osobistych ambicyj i korzyści.

A tu dowody tysiąca faktów macie wy, żołnierze legjonów polskich, w postaci pożółkłych, poszarpanych i przepoconych notatek, kartek, kwitów, legity-

macyj, przepustek, listów, arkuszy, spisów i t. d. Materjał ten marnieje, choćby w poszanowaniu prywatnem, częściej przepada w domu w jakimś starym kuferku, w szufladkach, kieszeniach, portfelach i t. d.

Obowiązkiem Waszym, żołnierze-legjoniści te wszystkie dowody historyczne lat, miesięcy, dni i godzin spędzonych na froncie, na etapach, w obozach, w niewoli, w szpitalach i t. d. **złożyć do wspólnego skarbca, do Archiwum Legjonów,** którego założeniem, uporządkowaniem i ubezpieczeniem zajmie się Sekcja historyczna przy Zarządzie Zw. Leg. Pol na Wawelu. Kierownikiem tego Archiwum jest Prof. Teofil Stupnicki i urzęduje każdej środy i piątku od 6 do 7-mej na Wawelu, przyjmując dary i depozyty.

Zaliczenie lat służby legjonowej do służby państwowej. W tej sprawie otrzymaliśmy indywidualne wyjaśnienia z Zarządu Głównego Leg. Pol. Poszczególni członkowie, którzy starali się o zaliczenie lat służby, odbytej w Legjonach do służby państwowej przez Zarząd Związku, mogą obecnie w tej sprawie otrzymać bliższe informacje. Z przykrością jednak musimy stwierdzić, że w tej sprawie nie uczyniono dotychczas nic. Służba legjonowa nie jest jeszcze uznawaną za służbę państwową.

Omyłki druku. Z powodu pośpiesznego składania drugiego numeru zostały popełnione następujące omyłki druku: str. 5 , 13 wiersz, od góry z prawej strony, zamiast „ogniskiem" ma być „ogniwem". — str. 6, 5 wiersz od dołu z prawej strony, zamiast „na Wschodzie" ma być „na Wschodu". — str. 10, 12 wiersz od dołu z prawej strony, zamiast „mała" ma być „mały". — str. 13, 7 wiersz od dołu z lewej strony zamiast „W ręku Waszym" ma być „W ręku Waszych". — str. 16, 23 wiersz od dołu z lewej strony zamiast „chórowem" ma być „chóralnem". — str. 21, 28 wiersz od dołu z prawej strony, zamiast „w innym biurze werbunkowym" ma być „w innem biurze werbunkowem". — str. 22, 1 wiersz od dołu z lewej strony, zamiast „Przypiski bibljografa" ma być „Przypiski i bibljografja". — str. 22, 19 wiersz od dołu z prawej strony, zamiast „w gospodarstwach" ma być „w hospodorstwach". — str. 23, 32 wiersz od dołu z prawej strony, zamiast „ideałami" ma być „ideami". — str. 25, 23 wiersz od dołu z prawej strony, zamiast „Ogle" ma być „Oglu". — str. 29, 21 wiersz od dołu z lewej strony, zamiast „Gronowskiego" ma być „Growskiego".



Dla uczczenia **Imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego,** ukazała się nakładem Polskiego Instytutu Wydawniczego w Warszawie 4/a, powieść sceniczna Jana Niwińskiego p. t.

„Wiktor i Czarny Michał"

której głośnymi bohaterami są Józef Piłsudski (Wiktor) i Aleksander Sulkiewicz (Czarny Michał), — ten, który planował wykradzenie Komendanta i plan ten urzeczywistnił przy pomocy Dra Mazurkiewicza, Siostry jego Józefy, Marji Paszkowskiej (Gintry), małżonków Praussów i innych. Obok Czarnego Michała stają Ci najbliżsi sercu Komendanta. Autor czerpał materjał z pierwszych źródeł t. j. od osób dotąd żyjących, które w akcji tej brały udział, a więc panie: posłanka Zofja Praussowa, Józefa Grabowska, — późniejszy zaś okres ze słów posła Rajmunda Jaworowskiego, Bergera i wielu innych. Materjał legjonowy — z obfitej literatury, tudzież z opowiadań płk. Polkowskiego i innych. Zgodność faktów historycznych z rzeczywistością, naruszona jest tam jedynie, gdzie tego wymagała fabuła literacka.

Cena tego bardzo starannie wydanego dzieła, objętości około 300 stron druku dużego formatu, wynosi dla członków Związku Legjonistów zł. 5. (Cena księgarska zł. 7.50). Do nabycia w lokalu Związku na Wawelu.

Zauważyć się godzi, że część dochodu z tego dzieła stanowić będzie podstawowy fundusz na budowę pomnika bohaterskiemu Aleksandrowi Sulkiewiczowi.

Prenumerata: Rocznie: 20 zł., półrocznie: 10 zł., kwartalnie: 5 zł. — Cena pojedynczego numeru 2 zł.

Ceny ogłoszeń: Cała strona: 400 zł., 1/2 strony 200 zł., 1/4 strony 100 zł., 1/8 strony 50 zł., 1/16 strony 25 zł. Ogłoszenia w treści o 50% droższe.

Redakcja i Administracja Kraków, Wawel. Tel. przez centr. wojsk. 3578, lub 3543. Konto P. K. O. 408.940. Redaktor naczelny i odpowiedzialny Dr. Stanisław Łukasik. — Kierownik Administracji: Franciszek Bednarz.

Odbito w Drukarni Przemysłowej w Krakowie, przy ul. Zielonej l. 7, pod kier. Tadeusza Zakulskiego. — Telefon Nr. 510.